DZIŚ i JUTRO

KATOLICKI TYGODNIK SPOŁECZNY

Cena zł 1.—.

Rok IX | Warszawa, 13 grudnia 1953 r. | Nr 50 (420)

W NUMERZE m. in.:

K. SOKOŁOWSKI — Dogmat Niepokalanego Poczęcia

W. PIEŃKOWSKA — Śpiewające liście

G. KAMIŃSKI — Franciszek Rabelais

W. OSTROWSKI — Ralph Waldo Emerson i transcendentalizm

A. ŚWIDERSKA — Emerson a Mickiewicz

K. KOŹMIŃSKI — Wizjoner architektury

Tadeusz SILNICKI

Symbol dawnego Wrocławia

Głowa Henryka IV Probusa

NIEWIELE stosunkowo pomników przeszłości zachował Wrocław i pod tym względem nie wytrzymuje on porównania z Krakowem czy z niektórymi miastami włoskimi, francuskimi i niemieckimi. Przeważa, narzuca się i pozostaje raczej we wrażeniu banalna architektura drugiej połowy XIX wieku, kiedy to miasto rozrosło się szeroko i przebudowało we wnętrzu, częstokroć z istotną szkodą dla swoich zabytków. Z Wrocławia książęcego, piastowskiego, nie pozostało nic zgoła. Wrocław mieszczański godnie reprezentuje wspaniały ratusz, jeden z najpiękniejszych w Europie, i nieco typowych patrycjuszowskich domów. Historycznie natomiast wysuwa się na plan pierwszy Wrocław Kościelny, wystrzelający w górę wieżami swych kościołów, o pewnej lokalnej oryginalności form ceglanego gotyku.

Wśród nich góruje ogromem i dostojeństwem Katedra, odbudowana po wojnie, lecz osobliwym pięknem urzeka — leżący opodal niej — kościół św. Krzyża.

Jego przedziwnie smukła sylweta — czy to oglądana zza Odry czy z pobliża — przykuwa wzrok i myśl na długo. Można by rzec, że widok tej szczupłej rozmiarami świątyni urasta do znaczenia symbolu dawnego Wrocławia w podobny sposób, jak symbolem Rzymu jest kopuła bazyliki św. Piotra, symbolem Pragi most Karola IV z perspektywą na Hradczyn, Krakowa zaś — wieże Kościoła Mariackiego. Znaczenie wrocławskiego św. Krzyża staje się tym większe, jeśli zważymy dzieje jego powstania oraz zastanowimy się nad pomnikiem grobowym Henryka IV Prawego, który w nim się znajdował i ma doń powrócić po dokonaniu robót restauracyjnych.

W obliczu kościoła św. Krzyża stoimy przed wielką kartą historii i sztuki. Trzeba umieć tę kartę odczytać, co więcej, trzeba zrozumieć jej znaczenie nie tylko historyczne dla nas, lecz także aktualne dla współczesnych, czyli dla pokolenia ze schyłku XIII i z początku XIV wieku.

Śląsk znajduje się wtedy na rozdrożu dziejów, na przełomie między niepodległym bytem a poddaństwem obcej koronie — między mocną państwowością czeską a odradzającą się dopiero polską — między rodzimą kulturą w języku, obyczaju i przekonaniu, a kulturą niemiecką, wdzierającą się równocześnie z zewnątrz i z wewnątrz przez przybyszów kolonistów. Kultura niemiecka przenika z góry przez książęta i możnych panów, poddających się łatwo, choć powierzchownie, jej wpływom z dołu przez mieszczanina i mnicha. Niemieccy przybysze, silni nie tyle liczbą, ile organizacją i pędem zdobywczym, rozsiadają się po wsiach i miastach śląskich, rządzą we Wrocławiu, a niebawem sięgną po stołeczny Kraków. Walka dwu narodowych elementów: polskiego i niemieckiego już się zaczęła. Jej terenem jest zarówno państwo, jak i Kościół.

Na Śląsku toczy się w tej dobie również i inna walka: pomiędzy Kościołem a państwem, pomiędzy biskupem Tomaszem II a księciem Henrykiem IV. Walki między władzą duchowną a świecką nie były w XIII stuleciu zjawiskiem rzadkim w różnych dzielnicach Polski z Krakowem i Gnieznem na czele, żadna jednak nie przybrała takich, jak ta rozmiarów, i nie poruszyła w tym stopniu wzajemnych przeciwników, żadna też nie sięgnęła tak głęboko. W tym wielkim, śląskim, kościelno-politycznym sporze chodziło bowiem nie tylko o zwyczajne w takich wypadkach kwestie rozmaitych danin, nie tylko o wsie, założone przez biskupów wrocławskich w liczbie kilkudziesięciu na obszarze tzw. przesieki, czyli puszczy granicznej, ale o zasadę władzy książęcej, której podlegać ma biskup, jego dobra i jego ludzie. Starły się więc ze sobą dwie wprost przeciwne idee: średniowieczna o supremacji Kościoła i nowożytna o przewadze państwa.

Chociaż spór ten nie był w założeniu walką narodowościową, to przecież przybrał rychło takie zabarwienie, gdy za biskupem stanęło duchowieństwo polskie, a za księciem element niemiecki, świecki i duchowny. W tym tkwiło oczywiście niebezpieczeństwo, które zrozumiał arcybiskup gnieźnieński, Jakub Świnka, wielki obrońca narodu polskiego przed zalewem niemieckim i wielki bojownik zjednoczenia Polski. Zażegnanie sporu i to w momencie największego napięcia, było prawdopodobnie jego dziełem i triumfem jego udatnego pośrednictwa. Na pewno zaś zjednał on Henryka dla swoich ideałów, wskazując mu wyższy cel niż lokalne zatargi, a mianowicie — koronę zjednoczonej Polski. Wystarczyło zresztą przypomnieć księciu jego tradycję rodzinną, tak żywą w XIII w. Wszak jego przodkowie: Henryk Brodaty i Henryk Pobożny nie co innego mieli na myśli. Że Henryk IV, zwany Prawym (Probus), podjął się tego zadania, świadczy to o jego wielkoduszności.

Nastąpiło zdarzenie o charakterze iście dramatycznym. Biskup — wygnany od dwu lat ze swej stolicy i swych posiadłości a ostatecznie oblężony przez księcia w Raciborzu — wyszedł uroczyście z miasta i — wobec niemożności dalszego prowadzenia walki — poddał się. Książę jednak bynajmniej zwycięstwa nie nadużywał i zawarł ze swym przeciwnikiem prawdziwą zgodę. Dla upamiętnienia tego faktu dokonali obaj fundacji kolegiat: książę — św. Krzyża we Wrocławiu, biskup — św. Tomasza (Kantuarysjskiego) w Raciborzu. Wyrównanie przeciwieństw nie przedstawiało już trudności, gdyż obie strony ożywione były pragnieniem szczerej zgody, a może nawet i współpracy.

Taka jest geneza Kościoła św. Krzyża, w styczniu 1288 r. Dwa i pół roku później, 24 stycznia 1290, umierał ten najświetniejszy ze śląskich Henryków. Umierał jako książę krakowski w kwiecie wieku i w pełni sił, nie bez podejrzeń o otrucie. W przeddzień śmierci nadał biskupstwu wrocławskiemu największy z przywilejów, jakie kiedykolwiek dotąd otrzymało. W nagrodę za wyrządzone krzywdy i szkody, a dla zbawienia duszy i odpuszczenia grzechów dawał pełne zwolnienie od ciężarów książęcych i ponadto udzielał biskupom w ich nysko-otmuchowskiej ziemi „całkowitego panowania i doskonałego pod każdym względem książęcego uprawnienia". Jeszcze krok tylko, a biskupi wrocławscy staną się książętami niezawisłymi i równymi innym śląskim książętom, i takimi pozostaną przez 500 lat dziejów biskupstwa od początku XIV w., do początku XIX.

Kościół św. Krzyża posiada prócz historycznej także i artystyczną wymowę, nawet silniejszą i trwalszą od tamtej, bo mimo upływu wieków jednako żywą dla nas, jak i dla ludzi Średniowiecza.

Kościół to o dwu kondygnacjach, górnej i dolnej, a więc dwa spiętrzone kościoły, lecz na zewnątrz w jednolitą całość ujęte, na podobieństwo słynnej bazyliki św. Franciszka w Assyżu. Takie założenie podwaja jeszcze smukłość gotycką kościoła. W tym samym duchu wertykalizmu współdziałają i podkreślają ów pęd do góry: szkarpy przyporowe wieńczone trójkątnymi szczytami, wąskie a długie okna, dach niezwykle stromy, a zwłaszcza wieża wznosząca się wysoko ponad kościół, Ostrów Tumski i całe miasto.

Wewnątrz górnego kościoła pełno światła, jak w świątyniach dojrzałego gotyku. Efekt ten osiągnięto przez zredukowanie ścian na rzecz okien i przez wydłużenie tych okien nie tylko do góry, lecz i w dół. Światło zalewa równomiernie cały kościół, gdyż nawy boczne i nawa poprzeczna są takiej samej, co główna wysokości. W nawach bocznych sklepienie trójdzielne i dziewięciopolowe, tzw. piastowskie, w którym poszczególne części układają się harmonijnie w kształt namiotu. Takie sklepienie zastosowano nieco wcześniej w kaplicy Mariackiej Katedry na Wawelu, a potem około połowy XIV w. w chórze ponad wielkim ołtarzem tejże katedry. System ten przyjął się też w innych kościołach wrocławskich tej epoki i dowodzi związków artystycznych Wrocławia z Krakowem. Oba miasta były podówczas ze sobą w bliskich stosunkach, odbywała się wzajemna wymiana prądów i ludzi. Najlepszym tego przykładem jest Nanker, zrazu biskup krakowski (1320—1326), następnie wrocławski (1326—1341). Nic dziwnego, jest to wszak ta sama polska ziemia i ta sama nad Odrą czy nad Wisłą — piastowska dynastia. Księciem Wrocławia i Krakowa jest fundator kościoła św. Krzyża, Henryk IV, który kościołowi dolnemu nadał wezwanie św. Bartłomieja. Uczynił to nie tylko z tej przyczyny, że święty ów doznawał czci na Śląsku, ile raczej dla upamiętnienia swojego zwycięstwa, które dało mu Kraków, a właśnie w dniu św. Bartłomieja — 12 sierpnia 1289 r. — zostało odniesione.

Niestety, nie są nam znane dzieje budowy św. Krzyża, ani wzory i wpływy, które na tę budowę oddziaływały. Jedyne zachowane imię architekta: „Wilandus" — nic nie mówi. Było to zresztą dzieło dwu, a może i trzech pokoleń, toteż tym bardziej podziwiać należy doskonałą jednolitość i harmonię całości. Ponad wszystkie domysły szukające mało skutecznie pierwowzoru w Niemczech, postawić należy twierdzenie o niezwykłej oryginalności Kościoła św. Krzyża i uznać za uzasadnioną — nawet we wrażeniu laika — zgodną opinię historyków sztuki, że jest to prawdziwy klejnot gotyku na terenie Śląska.

Kościół św. Krzyża we Wrocławiu

Dominik HORODYŃSKI

WIERZYMY WE FRANCJĘ

DŁUGIE lata zimnej wojny i napięcia międzynarodowego, w których słowo „wojna" i słowo „obrona pokoju" powtarzane są po kilka razy dziennie, znieczuliły wyobraźnię części opinii publicznej na treść, jaka się pod tymi słowami kryje. Dlatego wielką zasługą ostatniej sesji Światowej Rady Pokoju w Wiedniu było to, iż głosami najwybitniejszych współczesnych uczonych w sposób przejmujący uzmysłowiła ona wszystkim ludziom, którzy umieją myśleć i nie stracili wyobraźni, że wobec posiadania przez obie czołowe potęgi światowe takich broni masowego zniszczenia, jak bomba atomowa i wodorowa, dopuszczenie do wywołania wojny oznacza przyzwolenie na zagładę cywilizacji. Wybór: pokój czy wojna? oznacza: życie czy śmierć? Toteż wszystkie sporne zagadnienia, których nierozwiązanie w porę może w przyszłości stać się przyczyną konfliktu i katastrofy, rozpatrywać należy w poczuciu rozmiarów odpowiedzialności.

Dziś, gdy osiągnięty został rozejm w Korei, po wielu żmudnych wysiłkach i po latach zbytecznego przelewu krwi, najważniejszą sprawą jest pokojowe rozwiązanie problemu niemieckiego. Dopóki problem ten nie zostanie ostatecznie załatwiony — niemożliwe jest utrwalenie pokoju w Europie. Atmosfera i wynik wyborów w Republice Federalnej z 6 września br. aż zbyt wyraźnie przypomniały mieszkańcom naszego kontynentu, którzy nie utracili pamięci i poczucia odpowiedzialności, że nie wolno zwlekać z rozwiązaniem tego problemu.

Nazajutrz po wyborach kanclerz Adenauer oświadczył: *Bóg powierzył Niemcom misję kierowania Europą.* To zdanie, choć pełne wielkoniemieckiej pychy i z zamiłowaniem powtarzane przez poprzedniego kanclerza Niemiec, jest jednakże bardzo ogólne i może być różnie interpretowane. Zapewne więc dla uniknięcia nieporozumień „Nurnberger Nachrichten" z 8.IX.53. precyzuje: *„Trzeba obecnie zewrzeć szeregi i zjednoczywszy wszystkie siły podjąć wielką misję, która stoi przed nami: wyzwolenie naszych braci i naszych sióstr na Wschodzie..."*

Nie są to oświadczenia nowe. Już dawno, bo 16.III.52., D.P.A. donosiła, że w przemówieniu wygłoszonym w Siegen *„kanclerz Adenauer wymienił jako podstawowe cele swej polityki: utrwalenie pokoju w Europie i tą drogą w całym świecie, zjednoczenie Niemiec i ostateczne zaprowadzenie nowego ładu* (die neue Ordnung) *w Europie wschodniej.* A we „Frankfurter Allgemeine Zeitung" z 14.III.52. znaleźć można było takie rewelacje: *„Sekretarz stanu, Hallstein, przedstawił etapy drogi, którą należy iść:*

1. Integracja Republiki Federalnej do Zachodu;

2. Położenie kresu podziałowi Niemiec;

3. Połączenie wolnej Europy zachodniej i wyzwolonej od bolszewizmu Europy wschodniej aż po Ural".

Nie są to więc rzeczy nowe. Nowe jest natomiast to, że z fazy planów mają one przejść w fazę realizacji, której narzędziem stać się ma Europejska Wspólnota Obronna (C.E.D.) i jej trzon: armia niemiecka.

Oto, co pisze na ten temat „Frankfurter Allgemeine Zeitung", z 9.IX.53.:

„Przed paroma laty sytuacja tak się układała, że wydawało się, iż Niemcy nie mają żadnych szans poza ramami zjednoczonej Europy; dziś wydaje się, że to właśnie Francja i Włochy nie mają już szans, jeżeli nie pójdą za Niemcami na drodze europejskiej...

„Świat oczekuje więc, że Niemcy narzucą nowy porządek europejski (die neue europeische Ordnung)... *Zwycięstwo wyborcze Adenauera wynika z uroczystej obietnicy ścisłego związania, jako życiowego zadania jego polityki, zjednoczenia państw europejskich ze zjednoczeniem Niemiec".*

By nie pozostawić żadnych wątpliwości „Achener Nachrichten" z 16.IX.53. wyjaśnia:

„W momencie wyborów z 6 sierpnia, oświadcza Adenauer przy gorących oklaskach 244 deputowanych, została powzięta między innymi decyzja dotycząca stworzenia zjednoczonej Europy i C.E.D.".

Widzimy więc, że przywódcy Niemiec zachodnich upatrując przyszłość swego kraju w starej prusko-niemieckiej drodze polityki siły i podbojów chcą — wyciągając naukę ze smutnych doświadczeń Wilhelma i Hitlera — oprzeć się na Europejskiej Wspólnocie Obronnej w początkowej fazie swych poczynań przeciwko wschodowi. Ciężki przemysł zachodnio-niemiecki, który przy pomocy amerykańskich i rodzimych monopoli odbudował się i rozwinął w bardzo krótkim czasie, zaczyna obecnie odczuwać groźny brak rynków zbytu i z natury rzeczy dąży do produkcji zbrojeniowej. Zważywszy potęgę obozu socjalistycznego i fakt, że Adenauer nie jest w stanie zrealizować swych planów bez wywołania wojny, przed tą zaś ostateczną ewentualnością zawahają się nawet najwięksi awanturnicy, dojdziemy do wniosku, że w gruncie rzeczy rozwój wydarzeń w Niemczech zachodnich groźniejszy jest dla Francji i innych krajów zachodnio-europejskich niż dla wschodnich sąsiadów Niemiec, opartych o sojusz z ZSRR i oddzielonych od Republiki Federalnej niepoślednią siłą w postaci NRD.

W przekonaniu militarystów niemieckich oś polityczna Waszyngton-Bonn i bezpośredni sojusz wojskowy Stany Zjednoczone—Republika Federalna nie zapewnia dostatecznie realizacji ich planów. Sięgnijmy znów do bezcennego źródła, jakim jest „Frankfurter Allgemeine Zeitung", tym razem z 9.IX.53. Pan Albert Weinstein w artykule pt. „O politykę pokoju przez siłę" — pisze tam m.in.: *„...To przyszła armia europejska, nie zaś kontyngenty niemiecko-amerykańskie, może w 1954 r. stać się instrumentem pokoju opartego na sile".*

Owo przedkładanie przez odradzający się imperializm niemiecki Europejskiej Wspólnoty Obronnej nad bezpośredni sojusz z USA wynika z przyczyn politycznych, ekonomicznych i strategicznych. Czym Niemcy będą silniejsze gospodarczo i militarnie — tym bardziej uniezależniać się będą politycznie od Stanów Zjednoczonych. Powstanie Wspólnoty Europejskiej i kierownicza rola Niemiec w jej armii umożliwi im stopniowe podporządkowanie sobie tej „wspólnoty" i prowadzenie własnej, niezależnej od USA polityki, której inne kraje zachodu będą musiały posłusznie podporządkowywać się. Takie są przyczyny polityczne i gospodarcze gorliwości „europejskiej" wielu byłych hitlerowców. Na najbliższy jednak okres decydują przyczyny strategiczne. Bo jest rzeczą jasną, że bez zgody Francji, bez zrezygnowania przez Francję z niezależności swej polityki — wojskowy sojusz amerykańsko-niemiecki jest strategicznie fikcją. Po prostu nie może mieć poważnego znaczenia wojskowego.

Francja, kraj starej kultury i wielkiej inteligencji, znakomicie zrozumiała ogrom historycznej odpowiedzialności zależnej od jej decyzji i rozmiary wiszącego nad nią niebezpieczeństwa. W odpowiedzi na bezczelne, ultymatywne żądanie Adenauera, domagającego się ratyfikacji układów z Bonn i Paryża w takich to a takich „nieprzekraczalnych" terminach, w odpowiedzi na nacisk finansowy i polityczny Ameryki, poparty zdumiewającym wystąpieniem Churchilla, niedaleko odbiegającym od tonu Adenauera (mimo że Anglia sama nie ma zamiaru angażować swych sił zbrojnych w Europejską Wspólnotę Obronną) — w odpowiedzi na te wszystkie bezpośrednie ingerencje zewnętrzne w decydujące zagadnienia polityki francuskiej, rozległ się pomruk oburzenia całego niemal kraju. W ciągu kilku tygodni zrodził się we Francji potężny ruch narodowy przeciwko ratyfikacji układów z Bonn i Paryża, który zjednoczył w tej jednej sprawie ludzi różnych stanowisk politycznych od partii komunistycznej do skrajnej prawicy. Przeciwko podporządkowaniu Francji hegemonii niemieckiej zgodnie wystąpili czołowi mężowie stanu wszystkich stronnictw; nawet ci, którzy nie tak dawno głosili co innego. Można by ułożyć efektowny przekładaniec nazwisk zdawałoby się nie do pogodzenia: Thorez i Daladier, Duclos i de Gaulle, Lacoste i Soustelle itp. — Oto, co na ten temat pisze w „Le Monde" 4.X.53. — czyli na miesiąc przed dramatyczną debatą w parlamencie w sprawie polityki zagranicznej — znany działacz katolicki, J. M. Domenach:

„Po raz trzeci w ciągu piętnastu lat życie polityczne Francji znajduje się w stanie głębokiego przewrotu. A to dlatego, że nie idzie o sposób organizacji czy prowadzenia Państwa, lecz o samo jego istnienie. Partie się dzielą i powstają nieoczekiwane zbliżenia między przeciwnikami, którzy zdawali się nie do pogodzenia. Prawica się rozpada i jej skrzydło o tradycjach bonapartystycznych i duchu barresowskim spotyka się w oporze z lewym skrzydłem lewicy, z tym właśnie, które miała ona zazwyczaj oskarżać o „internacjonalizm", co więcej: ma się wrażenie, że wśród niezależnych radykałów i socjalistów elementy najbardziej antykomunistyczne mają mniej oporów od innych, by znaleźć się tym razem w zgodzie z partią komunistyczną.

W obliczu armii europejskiej pogmatwanie polityczne jest nawet poważniejsze niż w latach 1938 czy 1940, gdyż decyzja, którą trzeba podjąć, obciążona jest dziś decyzjami podjętymi wówczas i przez to się komplikuje; dlatego odnajdujemy w każdym z obu obozów byłych monachijczyków i byłych ludzi ruch oporu".

Zdrowy, potężny narodowy zryw Francji rozwija się z niebywałą siłą. Francja nie chce armii europejskiej, nie chce szykowania wojny i odbudowy Wehrmachtu, obrzydło jej utożsamienie się z Niemcami Adenauera i Hiszpanią gen. Franco.

W chwilach wielkich zwrotów politycznych drobne przypadki urastają do rozmiarów symboli. Można zaryzykować, że takim symbolem klęski pewnej kilkuletniej polityki było zasłabnięcie i przerwanie exposé przez min. Bidau't, gdy — wbrew większości kraju — usiłował on przed wzburzoną Izbą bronić koncepcji armii europejskiej.

Światowa Rada Pokoju, obradująca w Wiedniu, z uwagą śledziła obrady parlamentu paryskiego i głosami delegatów wielu narodów, w tej liczbie — delegatów Polski i Zw. Radzieckiego — przesłała serdeczne pozdrowienia walczącym patriotom Francji.

Naród polski — podobnie jak dziś większość Francuzów — od dawna wie, że istnieje możliwość pokojowego rozwiązania problemu niemieckiego; wie, że rozwiązanie takie wymaga zjednoczenia narodu niemieckiego na zasadach pokojowych i demokratycznych. By rozpocząć wreszcie konstruktywne postępowanie w tej sprawie, niezbędne jest spotkanie przedstawicieli wielkich mocarstw. Historia ostatnich dziewięciu w tej sprawie not, wymienionych w ciągu pół roku między ZSRR a mocarstwami zachodnimi, wskazuje, że główną przyczyną uniemożliwiającą konstruktywne rokowania była uchwała ministrów spraw zagranicznych Anglii, USA i Francji, podjęta w lipcu na konferencji waszyngtońskiej — stwierdzająca wolę mocarstw zachodnich włączenia Niemiec zachodnich do Europejskiej Wspólnoty Obronnej niezależnie od przebiegu rokowań. Rzecz jasna, przy takim postawieniu sprawy wszelkie rokowania w sprawie niemieckiej z góry skazane zostały na niepowodzenie i rozpoczynanie ich pozbawione było celowości.

Wypadki ostatnich miesięcy, w szczególności zaś stanowisko narodu fran

(Ciąg dalszy na str. 8)

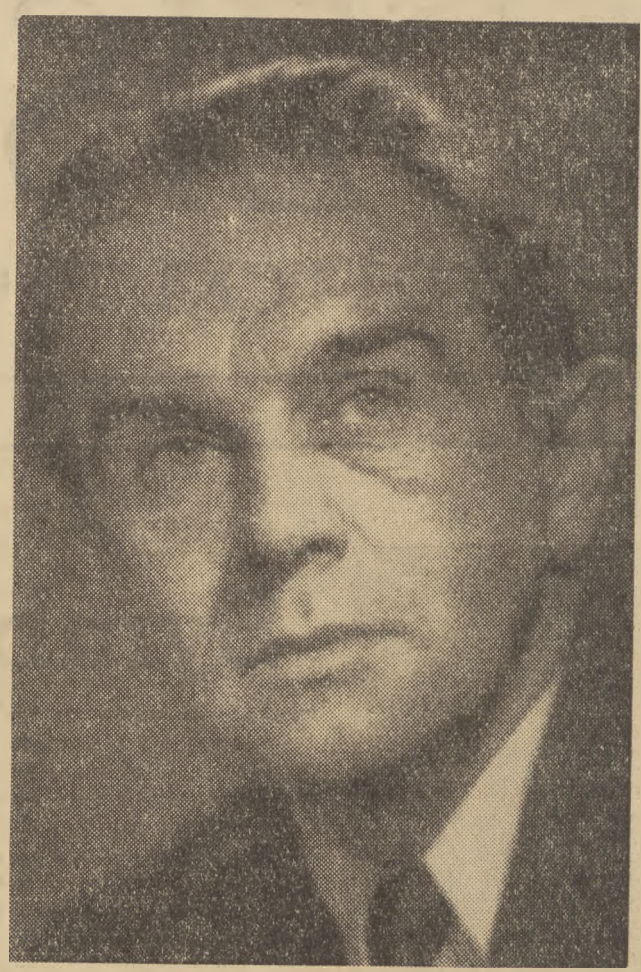

Dnia 6 grudnia 1953 r. zmarł Konstanty Ildefons Gałczyński. Wszystkich, którzy cenią poezję, szczególnie głęboko dotknęła ta żałobna wieść. W zmarłym tracimy poetę wielkiej miary.

Omówieniem Jego twórczości zajmiemy się w jednym z najbliższych numerów naszego pisma.

NOTATNIK POLITYCZNY

Sesja Światowej Rady Pokoju

WIEDEŃ w przeciągu dwóch ostatnich miesięcy stał się miejscem obrad o doniosłym znaczeniu. W październiku br. bowiem odbył się III Światowy Kongres Związków Zawodowych, ostatnio zaś, w czasie od 23 do 29 listopada br. miała w Wiedniu miejsce V sesja Światowej Rady Pokoju.

Obrady, w których brało udział 314 delegatów, reprezentujących 59 państw, poświęcone były najważniejszemu problemowi polityki światowej, mianowicie sprawie złagodzenia napięcia w stosunkach międzynarodowych. Prof. Joliot-Curie, otwierając pierwsze posiedzenie inauguracyjnym przemówieniem, podkreślił doniosłość roli obecnej sesji Światowej Rady Pokoju. Sesja ta, jak wskazał prof. Jolict-Curie, zebrała się, „aby zapoznać się z przebiegiem walki o pokój we wszystkich krajach i na podstawie analizy obecnej sytuacji znaleźć nowe środki, które uczynią tę walkę jeszcze bardziej skuteczną i solidarną". Dotychczas walka, jaką toczą narody przeciw antypokojowej polityce imperializmu amerykańskiego i jego zauszników, przynosi pozytywne rezultaty. Coraz więcej ludzi, sceptycznie dotąd ustosunkowujących się do idei ruchu obrońców pokoju, przechodzi do szeregów aktywnych działaczy, rozumiejąc, iż wola pokoju mas ludzkich stanowi wielką siłę, która oddziałuje w poważnym stopniu na proces złagodzenia napięcia międzynarodowego. Zawarcie rozejmu w Korei a ostatnio opór społeczeństwa francuskiego przeciw ratyfikacji układów wojennych o utworzeniu armii europejskiej są oczywistymi dowodami presji opinii publicznej, której rosnąca siła i autorytet zmusza i zmuszać będzie obóz wojenny do cofnięcia się ze swych stanowisk. Szczególnie ważnym zagadnieniem omawianym na sesji była sprawa zwołania wspólnej konferencji mocarstw, na której zostałyby przedyskutowane wszystkie problemy powodujące rozbieżności na całym świecie. Stany Zjednoczone, które pozornie zgadzają się na odbycie rozmów w sprawie uregulowania problemu niemieckiego, nadal prowadzą — wbrew układowi poczdamskiemu — akcję remilitaryzacyjną w Niemczech zachodnich. Taka postawa daje wyraźne świadectwo, że Stanom Zjednoczonym nie zależy na złagodzeniu konfliktu wojennego i praktycznym rozwiązaniu spornych spraw. Najlepszym tego dowodem było uporczywe odmawianie przez Stany Zjednoczone Chinom Ludowym należnego im miejsca w ONZ.

Sesja Światowej Rady Pokoju, kładąc specjalny nacisk na sprawę pokojowego uregulowania problemów międzynarodowych na konferencji mocarstw, zwróciła się do wszystkich ludzi, którzy pragną odprężenia w stosunkach międzynarodowych, z apelem zwołania światowego zjazdu Obrońców Pokoju. Zjazd ten byłby nową wielką manifestacją sił pokoju na świecie.

W obradach Światowej Rady Pokoju w Wiedniu brała udział delegacja polska, w skład której weszli również dwaj Przedstawiciele Duchownych i Świeckich Działaczy Katolickich przy Froncie Narodowym, red. naczelny tyg. „Dziś i Jutro", poseł Dominik Horodyński oraz red. „Słowa Powszechnego", ks. Mieczysław Suwała. (ZC)

Krzysztof SOKOŁOWSKI

Dogmat Niepokalanego Poczęcia

DNIA 8 grudnia 1854 r., dziewięćdziesiąt dziewięć lat temu, Papież Pius IX w Bulli dogmatycznej *Ineffabilis Deus*, w imię swego nieomylnego autorytetu ogłosił, iż „doktryna, według której Błogosławiona Dziewica Maryja od pierwszej chwili swego poczęcia, dzięki szczególnej łasce i przywilejowi Boga wszechmogącego i w przewidywaniu zasług Jezusa Chrystusa, Zbawcy rodu ludzkiego, była ochroniona i wolna od wszelkiej zmazy grzechu pierworodnego — jest doktryną objawioną przez Boga i w konsekwencji wszyscy wierni powinni w nią wierzyć mocno i niewzruszenie". W tych słowach znalazła swe uroczyste potwierdzenie i sformułowanie wiara w Niepokalane Poczęcie Najświętszej Maryi Panny, rozpowszechniona już w najstarszej epoce życia i działalności Kościoła.

Źródłem i podstawą tego przywileju Maryi, jak i wszystkich innych, którymi została obdarzona, jest fakt, iż była Ona wybrana na Matkę Boga-Człowieka. Dogmat Boskiego Macierzyństwa — ogłoszony na soborze Efeskim w r. 431, w momencie, gdy wiara weń została zagrożona przez herezję Nestoriusza — i Dogmat Niepokalanego Poczęcia są ze sobą ściśle złączone; drugi jest konsekwencją i następstwem pierwszego.

Ujmując rzecz teoretycznie, rola Matki Boga w Jego wcieleniu mogła wyglądać inaczej. Mogła Ona ani nie posiadać świadomości swego wyjątkowego wybrania, ani nie być do swej roli w żaden szczególny sposób przygotowana. Jednakże doświadczenie Kościoła wydaje się wskazywać, że Bóg w swym postępowaniu z ludźmi zachowuje, jeśli się tak można wyrazić, inną linię postępowania. Nie uczynił człowieka robotem, który by musiał wykonywać Jego wolę w sposób bezduszny i automatyczny i który byłby w Jego rękach bezwolnym narzędziem. Bóg chce mieć w człowieku współpracownika dobrowolnego i świadomego, którego stosownie do jego roli i zadań obdarza swą łaską i zależnie od jego zasług nagradza. Dlatego wystawił na próbę pierwszych rodziców, dlatego nikt nie może być zbawiony bez swej własnej woli i dlatego zbawienie jednych ludzi zależy od pomocy innych. Dlatego wreszcie w Bożych planach każdy z nas ma do spełnienia jakieś szczególne, jemu tylko właściwe zadanie. I odpowiednio — każdy z nas otrzymuje coś, co dałoby się określić jako „nadprzyrodzona osobowość" — zespół łask, które czynią nas godnymi tego zadania i umożliwiają jego wykonanie. Ta przeznaczona przez Boga „nadprzyrodzona osobowość", te łaski, które oczywiście człowiek może przyjąć lub odrzucić, tak jak może przyjąć lub odrzucić samo zadanie, są tym większe i wspanialsze, im wyższa jest rola, jaką ma człowiek w planach Bożych odegrać.

Maryja miała być Matką Boga-Człowieka. Jest to misja najwyższa, jaką może otrzymać istota stworzona, która stawia ją od razu ponad całym stworzonym światem. Godność Matki Najświętszej przerasta nieskończenie godność wszystkich aniołów i ludzi. Odpowiednio do swej misji i połączonej z nią godności został Ona obdarzona przez Boga łaskami stopniu nieporównanie większym niż wszyscy aniołowie i ludzie razem. Tego wymagała godność Matki Boga-Człowieka i tego wymagała miłość, jaką swą Matkę darzy Chrystus. To nieporównane obdarzenie łaską mamy na myśli, gdy mówimy „łaski pełna". Sens tego pojęcia lepiej oddaje użyte w greckim tekście Ewangelii św. Łukasza, w Pozdrowieniu Anielskim, słowo „*kecharitomene*", które oznacza obdarowanie i ogarnięcie łaską w sposób jedyny w swoim rodzaju i najwyższy.

„Piękna Madonna" z Wrocławia

Posiadanie przez Maryję „pełni łaski" nie byłoby doskonałe, gdyby chociaż przez chwilę pozostawała Ona pod władzą szatana, co miałoby miejsce, gdyby choć przez moment ciążył na Niej grzech pierworodny. A czyż jest możliwe, aby wyniesiona ponad wszystko Matka Boga choć przez chwilę pozostawała we władzy szatana? Byłoby to w najwyższym stopniu obrażające dla Niej i dla Jej Boskiego Syna. Dlatego w przewidywaniu zasług Chrystusa, wysłużonych przez Niego na krzyżu, Maryja została zachowana od skutków grzechu pierworodnego.

Właśnie tę doskonałą „pełnię łask", niezakłóconą nawet najbardziej chwilowym poddaniem grzechowi pierworodnemu, uroczyście potwierdził Pius IX ogłaszając Dogmat o Niepokalanym Poczęciu Najświętszej Maryi Panny.

Istnieją prawdy wiary, które były zawarte w Objawieniu potencjalnie, w sposób niejako ukryty, i których istnienie i treść Kościół uświadomił sobie dopiero w wyniku prac swych badaczy i teologów. Istnieją inne, które Kościół niemal od początku widział jasno, chociaż nie od razu umiał je z należytą precyzją sformułować i na pewno nie dostrzegał całego bogactwa ich treści. Otrzymują one uroczyste orzeczenia dogmatyczne wówczas, gdy wiara w nie zostaje zagrożona przez jakiś pogląd heretycki lub wtedy, gdy powszechna wiara w daną prawdę domaga się na tej drodze ostatecznego utwierdzenia i ukoronowania.

Dogmat Niepokalanego Poczęcia należy do tych drugich. Wiarę w tę prawdę, opartą na wielu tekstach Pisma św., spotykamy w tradycji kościelnej zawsze i wszędzie. Głosili ją w starożytności Ojcowie Kościoła. Obchodzono świętem zaczęto ją czcić na Wschodzie od VIII, a na Zachodzie od IX wieku. Święto to rozpowszechniało się stopniowo, a dla całego Kościoła zostało zatwierdzone przez Rzym w roku 1708.

Uroczyste zatwierdzenia dogmatyczne prawd dotyczących osoby i przywilejów Najświętszej Panny Maryi, zarówno Jej Boskiego Macierzyństwa, jak Niepokalanego Poczęcia i ostatnio Jej Wniebowzięcia, zwracając na siebie uwagę wiernych, pociągają za sobą zawsze wzmożenie kultu Matki Bożej. Kult ten posiada dwa oblicza. Jedno modlitewne, wyrażające się w nabożeństwach publicznych i modlitwach prywatnych, których celem jest uwielbienie przez Maryję Boga i oddanie się pod opiekę Tej Pośredniczki Wszystkich Łask, poprzez którą mamy dziękować i prosić. I drugie, polegające na naśladowaniu swym życiem osobistym Tej, która w sposób najdoskonalszy spośród wszystkich istot stworzonych wypełniła w swym życiu wolę Boga, zadanie, jakie Jej postawił do wykonania w stosunku do Niej samej, w stosunku do otaczającego Ją świata i całej ludzkości. Polega ono na naśladowaniu jej pokory, która jest niczym innym, jak umiejętnością słusznego ocenienia siebie i oddania zawsze należnej części Bogu i bliźnim, Jej posłuszeństwa, z jakim przyjmowała zawsze wolę Boga, oraz jej gorliwości i wysiłku, z którymi zawsze tej woli Boga szukała i z którymi ją wypełniała.

Papież Pius XII, pragnąc uczcić tajemnicę Niepokalanego Poczęcia Najświętszej Maryi Panny, wykorzystał tę okoliczność, iż w roku 1954 upływa setna rocznica sformułowania tego Dogmatu, i ogłosił rok ten Rokiem Maryjnym. Ma on być w szczególny sposób poświęcony nabożeństwu do Matki Bożej zarówno w życiu publicznym Kościoła, jak i w życiu prywatnym każdego katolika.

Zbigniew ZALEWSKI

BYŁO MI ŹLE

Było mi źle — dusza ma ciężko chorowała,
Im bardziej mocny byłem...
Siłą i zdrowiem, duszy swej nie leczyłem —
Jakaż pociecha wtedy z ciała?

I kiedym upadł — ciszo słodka,
Rozdarta nocnym płaczem,
Pan mój i Bóg mi rękę podał,
I okrył swoim płaszczem.

I odtąd Go znajduję co dzień,
Na drogach życia — wśród cmentarzy —
Jak twarz najbliższą spośród twarzy,
Com kiedyś w tłumie — dzieckiem stracił...

Ks. Eugeniusz STRZEMIEŃCZYK (Bytom)

Głos w dyskusji nad sztuką kościelną

ARTYKUŁ Józefa Kłosowskiego: „Błędne koło", zamieszczony w 417 nr. „Dziś i Jutro", chce ożywić dyskusję na temat sztuki kościelnej, która prowadzona od lat na łamach katolickich czasopism, nie została jeszcze ani wyczerpana, ani zakończona. Można przypuszczać, że wypowiedzi autora artykułu spowodują napływ listów czytelników do redakcji „Dziś i Jutro", bo żadna dyskusja nie wywołuje wśród społeczeństwa katolickiego takiego oddźwięku, jak omawianie problemów związanych ze sztuką kościelną.

Baz, w których nagromadzone jest, wypływające stąd czy skądinąd zainteresowanie katolików sztuką, jest wiele. Pierwszą z nich jest bez wątpienia niezadowolenie z istniejącego stanu rzeczy. I ta chęć walki ze wszystkim, co bezmyślne, tandetne i brzydkie w naszej sztuce kościelnej, każe pisać lub przemawiać na forum publicznym. Bazy innych aspektów są wtórne w swym działaniu. Wydaje się mi, że podsumowanie dotychczasowej dyskusji o sztuce kościelnej, przeanalizowanie jej treści, potwierdziłoby w pełni moje twierdzenie. Potwierdziłoby również wniosek, że dyskusji tej udało się wskazać na szereg poważnych braków w naszej sztuce religijnej, nazwać po imieniu błędy kościelnego malarstwa i plastyki, odkryć zaczajone niebezpieczeństwa, grożące prawdziwym dziełom sztuki religijnej. I to jest konkretny rezultat wspomnianej dyskusji. Spodziewaliśmy się jednak nie tylko tego. Nie tylko zajęcia negatywnego stanowiska wobec wszystkiego, co nie jest sztuką kościelną, mimo że się za nią podaje. Chcieliśmy konkretnych rezultatów również w pozytywnej stronie dyskusji, czyli w proponowanych przez nią rozwiązaniach. Tego — nie zdążyliśmy się jeszcze doczekać. Dowodem jest chociażby „Błędne koło", alarmujące o szerokim rozchodzeniu się złych figur i obrazów, Czyli, że mimo dyskusji nic się prawie nie zmieniło na froncie walki z tandetą w sztuce religijnej. Nakrzyczeliśmy się sporo o tym, jak zaradzić pchaniu się do kościołów i domów rozmaitych kiczów, a tymczasem nikt się tym nie przejął i dawny, zły stan sprawy trwa nadal..

Dyskusja o sztuce religijnej nie może zadowolić się osiągnięciem posłuchu dla jej : *nego*. Musi dążyć do tego, aby taki sam skutek wywarło również jej : *pono*. Sądzę, że wznawianie rozmów o sztuce kościelnej będzie celowe o tyle, o ile ich punkt ciężkości przełoży się na stronę pozytywną zagadnienia. Wyliczanie na nowo błędów i zaniedbań sztuki kościelnej, bez podawania konkretnych i realnych środków naprawczych, byłoby nudnym biadoleniem i niczym więcej.

Postawmy najpierw pytanie, od kogo zależy artystyczna strona naszych kościołów? Rzecz jasna, że nie od jednego człowieka. Ma tu swój głos i artysta, i wierni, i rządca kościoła. Ale waga ich głosów nie jest jednakowa. Zawsze, praktycznie i prawnie, decydującą osobą jest kapłan. Z tej przyczyny główne zadanie oczyszczania kościołów z nieodpowiednich obrazów, figur itd., a wprowadzanie wartościowych obiektów, związanych z kultem religijnym, należy do księdza. Czy ksiądz potrafi wywiązać się należycie z tej funkcji? Na to pytanie nie można odpowiedzieć jednym zdaniem. Jeśli każdy ksiądz katolicki posiada mniej więcej jednakowe wykształcenie teologiczne, to jego edukacja w dziedzinie sztuki bywa bardzo rozmaita. W jednym seminarium duchownym sztuka kościelna jest uważana za przedmiot o większym znaczeniu, w innym za zupełnie nieważny. W tym profesor pojmuje sztukę kościelną, jako jeden z działów historii, w tamtym, jako przede wszystkim umiejętność praktyczną. Jedno seminarium dysponuje wartościowymi zbiorami sztuki, drugie nie posiada ich. Ale to wszystko nie jest najważniejsze. Ważne jest natomiast, jak sam alumn nastawiony jest do zagadnienia sztuki. Czy wykłady z jej zakresu pasjonują go, czy też są malum necessarium? Gdyby miał się na nich nudzić, a raczej, gdyby chciał się na nich nudzić, wyjdzie z seminarium takim samym ignorantem w sprawach sztuki, jakim był, gdy wstępował do stanu duchownego. Po jakimś czasie, już jako ksiądz, obejmie opiekę nad jakimś kościołem i wtedy zacznie się tragedia. Oczywiście nie dla niego, ale dla wiernych o wyrobionym smaku artystycznym. Kościół stanie się przybytkiem „sztuki" odpustowo kramarskiej. To wypadek skrajny. Procentowo najliczniejszy. Wypadek łagodniejszy zachodzi wtedy, gdy rządca kościoła, chociaż sam nie zna się na sztuce, jest — jak to się mówi — pełen dobrych chęci. Chciałby, aby jego kościół był piękny, a nie wiedząc, co jest piękne, szuka wskazówek u artystów. Ci nie szczędzą ich, ale każdy mówi co innego. Co jeden nazwał ładnym, drugi określa, jako brzydkie. I bądź tu mądrym! Efekt jest taki, że ksiądz idzie za radą tego, który ma na niego największy wpływ. I w końcu przykład najrzadszy. Rządca kościoła, znawca i smakosz sztuki, urządza go tak, jak powinien wyglądać. Nie zawsze jednak pamięta, że świątynia pańska nie jest salonem wystawowym.

Te trzy, reprezentatywne typy kapłanów, uprawniają do sądu, że ogólnie rzecz biorąc ksiądz jako rządca kościoła nie wywiązuje się odpowiednio z powierzonej mu troski o piękno domu Bożego. Twierdzenie to wypowiedział również Kościół, każąc swego czasu ordynariuszom tworzyć przy kuriach komisje, złożone z duchownych i świeckich, które czuwałyby nad sztuką kościelną w diecezjach. Komisje takie istnieją, ale ich działalność nie jest taka, jakby sobie należało życzyć. Często zasiadają w niej ludzie nieodpowiedni, którzy zamiast dbać o poziom artystyczny kościołów, dbają o to, aby nie narażać się ordynariuszowi i żyć w zgodzie z wszystkimi proboszczami. Gdy wpłynie do komisji projekt malowania kościoła, który przywiózł energiczny kapłan, mile notowany u biskupa, to zatwierdza się czym prędzej plany, mimo że właściwie należało je odrzucić. Jeszcze gorzej jest wtedy, gdy ten czy ów kapłan z komisji ma bardzo słabe pojęcie o sztuce. Bo bywa i tak. Miał tylko bardzo mocne poparcie i dzięki niemu wszedł do rady. A gdy nawet w komisji diecezjalnej do spraw sztuki kościelnej wszystko jest w porządku, to najczęściej nie ma ona kontaktu z terenem, będąc ograniczona do oceniania przedłożonych jej dzieł. Wtedy komisja rezyduje w stolicy diecezji, ciernia na bezczynność, a rządcy kościołów w miastach i wsiach urządzają sobie świątynie po swojemu.

Jeśli stwierdziliśmy, że poprawa poziomu artystycznego naszych kościołów zależy w głównej mierze od księży, jeżeli doszliśmy do wniosku, że sami księża niezbyt się nadają do tego zadania, jeżeli wreszcie wskazaliśmy na diecezjalną komisję sztuki kościelnej jako na instytucję najbardziej powołaną do dbania o piękno domów Bożych, to teraz należy wysunąć praktyczne propozycje odnośnie tych właśnie komisji.

Po pierwsze. Do komisji powinni być powołani księża pasjonujący się sztuką, a nie mający tylko o niej większe lub mniejsze pojęcie. Osoba powołująca musi zerwać z protekcjonizmem, z powodowaniem się sympatiami i antypatiami, a kierować się wyłącznie obiektywną wartością zainteresowanych.

Po drugie. Członkowie komisji powinni posiadać całkowitą swobodę podejmowania decyzji.

Po trzecie. Żadna inwestycja w jakimkolwiek kościele w diecezji, a wiążąca się bezpośrednio czy pośrednio z zagadnieniem sztuki, nie powinna być przeprowadzana bez aprobaty komisji.

Po czwarte. Władza diecezjalna powinna usankcjonować działalność komisji urzędowym rozporządzeniem i popierać ją swoim autorytetem.

Dokładna instrukcja, opracowana przez członków komisji i rozesłana

(Dokończenie na str. 4)

Henryk ZEMAN

Serbowie łużyccy

W r. 1018, na podstawie zawartego pokoju w Budziszynie, ziemie Milska i Łużyc — zamieszkane przez słowiański szczep Serbów Łużyckich — zostały wydarte cesarskim margrafom i włączone z powrotem do monarchii Bolesława Chrobrego.

Już od końca IX w. ekspansja germańska na wschód zaczęła przybierać na sile. Henryk I (ur. w 876 r.) przedsięwziął wiele najazdów na Słowian. Thietmar tak pisze o jednej z jego wypraw: „Kiedy ojciec wysłał go z wielkim wojskiem do siedzib plemienia, które my po niemiecku nazywamy Deleminci, a Słowianie Głowaczami [1]) powrócił zwycięzcą po straszliwym spustoszeniu i spaleniu kraju[2])".

Ogniem i mieczem pustoszyli rycerze zbóje ziemie zamieszkane przez spokojne, prowadzące osiadły tryb życia, zajmujące się rolnictwem, pszczelarstwem i rybołówstwem liczne plemiona słowiańskie. W ciągu kilku dziesiątków lat — z wyjątkiem może Drewlan, którzy dziwnym zbiegiem okoliczności przetrwali w okolicy Luneburga prawie do XVIII wieku — wyginęły wszystkie plemiona słowiańskie zamieszkałe na lewym brzegu Łaby.

Na prawym natomiast germanizacja plemion słowiańskich postępowała wolniej. Niemcy spotkali się tu ze zdecydowanym oporem. Złożyło się na to kilka przyczyn.

Przede wszystkim powstanie silnego państwa polskiego oraz wzmocnienie Czech pod panowaniem Przemyślidów niewątpliwie wpłynęło na zwiększenie oporu plemion słowiańskich przeciwko najazdowi germańskiemu. Niemniej ważną przyczyną było stosunkowo łatwe, wolne od namiętnych sprzeciwów przyjęcie chrześcijaństwa przez tamtejsze szczepy, wśród których byli również Łużyczanie. Stanowili oni gałąź Serbów Nadłabskich i zamieszkiwali między Czarną Elsterą, Sprewą i Nysą[3]).

Krótki okres panowania Bolesława Chrobrego na ziemiach Milska i Łużyc przyniósł Łużyczanom przejściową ulgę. Po nieszczęśliwych rządach Mieszka II, kiedy to państwo polskie doznało silnego osłabienia, Łużyce zostały znów, na pewien tylko okres, uratowane przed dalszą germanizacją dzięki przejściu znacznej części tych ziem w r. 1086 pod panowanie korony czeskiej.

Jakkolwiek nie posiadamy ścisłych wiadomości świadczących o tym, że trwające do 1635 r. panowanie czeskie sprzyjało narodowemu rozwojowi Serbów łużyckich, na pewno jednak uchroniło ich od całkowitej germanizacji. Jednakże już w tym okresie miasta i klasztory na Łużycach były niemieckie. Tylko wieś zachowała nadal odrębny charakter słowiański.

W wieku XVI zaczął powstawać, pod wpływem reformacji Lutra, literacki język Łużyczan.

Począwszy od XVII w. Serbowie zostali zdani jedynie na własne siły.

Rozpoczęta w w. XIX i kontynuowana w XX w. wielka akcja germanizacyjna spowodowała dalsze, poważne straty narodowe. Zupełny prawie brak serbo-łużyckiego szkolnictwa, uprzemysłowienie kraju i związany z tym napływ ludności niemieckiej, przymusowa germanizacja nazwisk i imion, gospodarczy ucisk i prześladowania najmniejszego nawet kulturalnego odruchu narodowego — postawiły przed Serbami łużyckimi grozę zupełnego wynarodowienia.

Jednak ideowy trzon narodu utrzymywał się jeszcze. Na wsi chłop łużycki przywiązany do swojej ziemi, tradycji i języka ojczystego — nie pozwolił się zgermanizować.

Dopiero dwunastoletni okres terrorystycznych rządów hitlerowskich zupełnie zniszczył zorganizowane życie kulturalne na Łużycach. Zakaz posługiwania się językami serbołużyckimi, zamknięcie działaczy społecznych w więzieniach i obozach koncentracyjnych, konfiskata mienia organizacji społecznych i kulturalnych — oto tylko niektóre przejawy faszystowskiej polityki, zmierzającej do całkowitego zniszczenia najmniejszego narodu słowiańskiego.

Zamierzenia faszystów nie zostały jednak zrealizowane. Armia Radziecka zwycięskim marszem na Berlin przyniosła wolność również Serbom łużyckim.

Obecnie Serbowie łużyccy żyjąc w granicach Niemieckiej Republiki Demokratycznej — korzystają w pełni z kulturalnej autonomii i są najzupełniej równouprawnieni z obywatelami narodowości niemieckiej. Języki serbo-łużyckie, tj. górny język serbski Górnych Łużyc oraz różniący się od niego znacznie dolnołużycki uznane są — na równi z językiem niemieckim — jako podstawowe języki na Łużycach w urzędach, szkolnictwie i sądownictwie.

Rząd NRD organizuje i finansuje serbskie instytucje naukowe, społeczne i kulturalne. „Instytut poserbski ludospyt" (Instytut Badania Serbskiego Folkloru), który wchodzi w skład Akademii Nauk NRD, jest pierwszą serbo-łużycką narodową instytucją naukową od zarania historii. „Serbska recespytnia komisja" (Serbska Komisja Filologiczna) zajmuje się reformą słownictwa, pisowni oraz gramatyki serbskich języków.

Pomimo dotkliwego jeszcze braku wykwalifikowanych nauczycieli Serbowie łużyccy mają obecnie 4 szkoły typu licealnego i 10 szkół podstawowych z serbskim językiem wykładowym. W większości zaś szkół niemieckich na terenie dwujęzycznych powiatów plan nauki przewiduje jako przedmiot obowiązkowy język serbski. Poza tym istnieją dwa seminaria nauczycielskie, średnia szkoła rolnicza, kilka połączonych z internatem uniwersytetów ludowych. By należycie ocenić olbrzymi postęp w dziedzinie oświaty na Łużycach, należy wziąć pod uwagę fakt, że w 1945 r. było tylko 7 (!) nauczycieli serbskich.

Dzięki wydatnej pomocy władz NRD, rozwija swoją działalność Związek Serbów Łużyckich „Domowina" w Budziszynie. Kieruje on życiem społeczno-politycznym narodu. Jego akcja propagandowa i uświadamiająca spowodowała, że tysiące Serbów z powrotem odzyskano dla narodu. Również w Budziszynie zorganizowany został teatr ludowy na wzór naszego „Mazowsza". Daje on przedstawienia w wielu miastach NRD, a obecnie wybiera się na dłuższe tournée po Polsce i Czechosłowacji. Prasa serbska, obok organu Związku Serbów Łużyckich, gazety „Nowa Doba", dysponuje wieloma czasopismami literackimi, fachowymi i młodzieżowymi. Serbska księgarnia w Budziszynie przejęła tradycje przedhitlerowskiej księgarni zasłużonego działacza narodowego J. Smolera i we własnym zakresie wydaje dzieła ze starej i nowej literatury.

Literatura łużycka dopiero teraz, dzięki pomocy władz NRD, może rozwijać się pomyślnie. Do czołowych współczesnych literatów łużyckich należy zaliczyć Jurija Brezana, laureata państwowej nagrody NRD, Ryszarda Inselta i Marcina Nowaka-Njechorńskiego. Njechorński jest również wybitnym artystą-malarzem, który za twórczość w dziedzinie malarstwa otrzymał państwową nagrodę.

W dziedzinie muzyki serbo-łużyckiej laureat państwowej nagrody NRD, Jurij Winar, w kompozycjach swoich ujawnia nowoczesny realistyczny styl.

*

Tak więc Serbowie Łużyccy po latach ucisku i prześladowań mogą obecnie w pełni rozwijać starą, bogatą kulturę łużycką. Co więcej, państwowe władze NRD oraz partie polityczne z Niemiecką Socjalistyczną Partią Jedności na czele wspierają naród serbo-łużycki i dążą, przez szeroko stosowaną pomoc, do wynagrodzenia mu wielowiekowych krzywd, wyrządzonych przez dawne rządy feudalne i kapitalistyczne.

1) W IX w. Głowacze mieli swoje siedziby między średnią Łabą a Muldą, niedaleko gór Kruszcowych

2) Kronika Thietmara, Instytut Zachodni. 1953 str 6.

3) Kronika Thietmara. Instytut Zachodni. 1952. str. 58; por. notka 66.

Konkurs literacki „Dziś i Jutro"

Redakcja katolickiego tygodnika społecznego „Dziś i Jutro" w związku z nadchodzącymi w roku przyszłym uroczystościami obchodu X-lecia Polski Ludowej

ogłasza

KONKURS LITERACKI

pod nazwą

„NA DROGACH KU POLSCE LUDOWEJ"

Konkurs ma na celu możliwie najszersze i najpełniejsze podsumowanie wyników dotychczasowej pracy pisarzy reprezentujących współczesną polską twórczość katolicką. Dlatego też nie przewiduje się żadnych ograniczeń co do gatunku i rozmiarów utworów konkursowych. Reprezentowane mogą więc być wszelkie odmiany poezji i prozy artystycznej. Pozostawia się autorom również swobodę w wyborze tematu. Ponieważ jednak konkurs został zorganizowany w związku z X-leciem Polski Ludowej, pragniemy, aby w możliwie najszerszym zakresie uwzględniona została w pracach konkursowych problematyka naszej współczesności (np. problem Ziem Zachodnich, kwestie autochtońskie itp.), a szczególnie zagadnienia przeobrażeń ideowych prowadzących ku twórczej współpracy przy budowie Państwa Ludowego oraz zagadnienia tej właśnie współpracy. Podjęcie przez autora tego rodzaju problematyki przy jednoczesnym mocnym zaakcentowaniu postawy katolickiej, decydować będzie o pierwszeństwie danego utworu przed innego rodzaju pracami stojącymi na podobnym poziomie artystycznym.

WARUNKI KONKURSU

Prace konkursowe powinny być przepisane na maszynie w czterech egzemplarzach podpisanych kryptonimem konkursowym, do których należy dołączyć kopertę oznaczoną tym samym kryptonimem a zawierającą pełne imię, nazwisko i dokładny adres autora.

Materiały konkursowe nigdzie dotąd nie publikowane należy przesyłać na adres redakcji „Dziś i Jutro", Warszawa, Mokotowska 43, I piętro, z wyraźnym dopiskiem na kopercie:

KONKURS LITERACKI

Ostateczny termin nadsyłania materiałów konkursowych upływa z dniem *1 marca 1954 roku*. O ważności decyduje data stempla pocztowego w miejscu nadania.

Ogłoszenie wyników konkursu nastąpi w połowie kwietnia 1954 roku.

Redakcja „Dziś i Jutro" zastrzega sobie pierwszeństwo ewentualnego drukowania materiałów, jak i przekazania ich wydawnictwu „Pax" z propozycją antologicznego opublikowania.

Zgodnie z zapowiedzią poprzedniego numeru ogłaszamy listę nagród naszego konkursu literackiego:

„NA DROGACH KU POLSCE LUDOWEJ"

w dziale prozy:

I nagroda — trzy tysiące złotych
II nagroda — dwa tysiące złotych
III nagroda — tysiąc złotych

w dziale poezji:

I nagroda — dwa tysiące złotych
II nagroda — tysiąc pięćset złotych
III nagroda — siedemset pięćdziesiąt złotych

Prócz tego przewidziane są cztery wyróżnienia po 500 złotych i 10 nagród książkowych z wydawnictw „PAX-u".

Jury ma zastrzeżone prawo — w razie konieczności — nieprzyznawania, dzielenia lub łączenia poszczególnych nagród.

Skład sądu konkursowego podamy w następnym numerze naszego pisma.

Głos w dyskusji nad sztuką kościelną

(Dokończenie ze str. 3)

wszystkim rządcom kościołów, byłaby materiałem orientującym ich praktycznie w wartościowaniu aktualnych w diecezji obiektów sztuki i podawałaby wskazówki, jak postępować przy zamiarze usunięcia czy wprowadzenia czegoś do kościoła. Instrukcja taka byłaby zarazem ochroną dla proboszcza przed naciskiem wiernych, domagających się umieszczenia w świątyni np. jakiegoś niestosownego obrazu. Mógłby im łatwiej odmówić, powołując się na wspomnianą instrukcję i odsunąć od siebie męczące molestowania i przekonywania.

Członkowie diecezjalnej komisji dla spraw sztuki kościelnej powinni utrzymywać stały kontakt z poważnymi wytwórniami dewocjonalii, orientować się w wartości produkowanych przez nie przedmiotów kultu religijnego i często referować o niej poszczególnym parafiom. Bardzo przydatne byłoby przeprowadzenie inwentaryzacji kościołów z uwzględnieniem kryteriów sztuki. Dokładny opis wszystkich dzieł sztuki czy pseudosztuki w danym kościele umożliwiałby komisji orientowanie się, czy bez jej wiedzy nie dokonano jakichś zmian w istniejącym stanie rzeczy.

Można by wysunąć jeszcze niejeden dezyderat czy projekt odnośnie wspomnianych komisji, ale nie chodzi o to, aby zagłębiać się w szczegóły. Celem tych uwag jest chęć przekonania wszystkich, których zajmuje wygląd naszych kościołów, że jedyna realna droga do piękna domów Bożych prowadzi przez komisje dla spraw sztuki kościelnej. Jeżeli one nie zaczną działać tak, jak należy, nie pomogą żadne pobożne życzenia, żadne dyskusje i wystawy, żadne nawet pouczenia władz kościelnych. Doskonały przykład dała ogłoszona 30 czerwca 1952 r. instrukcja Kongregacji św. Officium: „Instructio de Arte Sacra". Przedrukowano ją w prasie katolickiej, rozesłano proboszczom, omawiano na konferencjach dekanalnych, a skutek? Kościoły wyglądają jak dawniej. Stało się tak dlatego, ponieważ instrukcja Kongregacji nie była opatrzona stosownym rozporządzeniem wykonawczym władzy diecezjalnej, która również niczym jej nie usankcjonowała.

Jest rzeczą wiadomą, że przygniatająca większość wiernych nie posiada smaku artystycznego. Jak stwierdzono nieraz, największy popyt i uznanie mają najbardziej nieprawdopodobne w wyrazie i formie oleodruki i figurki. Radzono, jak temu zaradzić. Sugerowano, aby księża poświęcali od czasu do czasu jakieś kazanie objaśnieniu wiernym funkcji sztuki kościelnej, by uczyli ich np. na czym polega dobry obraz o treści religijnej, a na czym zły. Przyznam się, że nie słyszałem, aby jakiś ksiądz w promieniu kilku parafii takie kazanie wygłosił. Dlaczego tego nie uczynił? Bo nie było odgórnego zarządzenia, że w tę a tę niedzielę należy powiedzieć takie a takie kazanie według załączonego wzoru. Więc znowu trzeba apelować do „góry". Każcie księżom mówić ludowi o sztuce. Każcie im uczyć wiernych smaku artystycznego.

Dobre pouczenie z ambony robi swoje. Znam proboszcza, który zamówił do swojego kościoła beuroński obraz Niepokalanego Serca Marii. Parafianie oglądali projekt i wyrażali między sobą niezadowolenie. Proboszcz dowiedział się o tym i przy najbliższej okazji wygarnął z ambony malkontentom. Oczywiście kulturalnie. Po swoich objaśnieniach obrazu oświadczył, że kto oponuje przeciw zamówionemu obrazowi, zdradza zupełną nieznajomość w sprawach sztuki, że jest bezmyślny i zacofany. Pomogło. Gdy ukończony obraz umieszczono w kościele, parafianie powszechnie wyrażali swoje uznanie. Nie chcieli uchodzić za ignorantów w sprawach sztuki. Po pewnym czasie obraz zaczął się im podobać, a jeszcze później poprosili proboszcza, aby sporządził kopie obrazu, które zawiesili w swoich domach.

Wyrażając życzenia, aby z domów prywatnych zaczęły znikać reprodukcje potwornych kiczów, a zrobiły miejsce przynajmniej kopiom rzeczy dobrych, trzeba pamiętać, że całą akcję musi rozpocząć kościół. Nie pomoże perswadowanie komuś, że jego figurka Niepokalanej jest brzydka, jeżeli ten ktoś będzie widział taką samą figurkę w swoim kościele.

A zatem, reasumując tych kilka uwag, trzeba powiedzieć, że uzdrawianie stosunków na odcinku sztuki kościelnej trzeba prowadzić odgórnie. Poprzez kurie diecezjalne, poprzez komisje kurialne dla spraw sztuki. Inne sposoby mogą wyglądać bardzo ponętnie, ale nie przyniosą poważnych i widocznych rezultatów.

Ks. Eugeniusz Strzemieczyk

Wanda PIEŃKOWSKA

ŚPIEWAJĄCE LIŚCIE

Pierwszy plan gabinetu był mroczny i nieważny. Wszystko zaczynało się dopiero od ciężkiej plamy biurka, za którym na jarząco złotym tle okna rysowała się mocna sylwetka. Niespokojna migotliwość jesiennych liści tam, na wietrze i w słońcu, tworzyła silny kontrast z masywną bryłą siwej głowy, wtopionej w ciszę z tej strony szyb.

— Proszę pytać, bo ja nie jestem mowny — powiedział śpiewnym, czarującym głosem, gdy kilku słowy skwitowaliśmy formalną stronę sprawy.

„Otello"

Ale mimo tej zapowiedzi — nie ja prowadziłam rozmowę. Już po pierwszych taktach siłą nawyku przejął batutę, aby kilkunastominutowy wywiad zmienić w niezapomnianą dla mnie improwizację.

Bierdiajew. Można by powiedzieć, że to nazwisko na przestrzeni lat stało się synonimem muzyki, pomnożonej przez tytaniczną pracę każdego dnia. Znana to wśród polskich i zagranicznych muzyków rzecz, że gdy grubo młodsi wiedzą i doświadczeniem dyrygenci poprzestają na trzech — czterech próbach — Bierdiajew musi przed koncertem zawładnąć orkiestrą siedem, albo i dziesięć razy, tak długo prostując ścieżki każdego instrumentu, aż wszystkie bezbłędnie wejdą na wielki, jasny gościniec jego koncepcji dzieła.

Linia jego twórczej pracy biegła przez wiele zagranicznych estrad pierwszej wielkości, nawracając coraz do kraju, aż przed czterema laty zbiegła się z upaństwowioną właśnie Operą Poznańską, która pod szczytnym imieniem Stanisława Moniuszki wkraczała na nową drogę... Ale niesprawiedliwie byłoby pominąć milczeniem dawniejsze dzieje tej tak bardzo dla kultury polskiej zasłużonej sceny. Wyjdźmy więc na chwilę z teraźniejszości zacisznego gabinetu, aby cofnąć się o lat przeszło trzydzieści.

Otwarcie Opery polskiej w Poznaniu odbyło się w sierpniu 1919 roku. Kronika w starannie wydanym zeszycie, poświęconym trzydziestoleciu Opery (nie ma go nigdzie w sprzedaży, a szkoda... kto by bardzo chciał — może kupić bezpośrednio w Administracji Opery) — Kronika ważniejszych wydarzeń artystycznych informuje sucho o tej wiele mówiącej dacie, że nastąpiło „Otwarcie Opery polskiej w gmachu Teatru Wielkiego w Poznaniu i uroczysta premiera „Halki"..." Niechże wyobraźnia dopowie, czym w owym roku musiało być dla Poznania usłyszenie ze sceny dźwięków narodowej opery polskiej.

Idąc dalej śladami Kroniki natykamy się na nazwiska ludzi, których twórczy trud położył niezniszczalne podwaliny pod dalszy rozwój Opery. Zygmunt Wojciechowski — dyrygent i później dyrektor, Karol Urbanowicz — reżyser, Piotr Sternicz-Valcrociata, za którego dyrekcji Pietro Mascagni dyrygował w Poznaniu swoją „Cavalleria rusticana" oraz „Pajacami" i „Aidą", Zygmunt Zaleski — niezapomniany odtwórca roli tytułowej w „Borysie Gudunowie", bas-baryton i reżyser w jednej osobie...

W 1929 r. następuje zmiana dyrekcji: na miejsce Sternicza przychodzi Zygmunt Wojciechowski. Repertuar walczącej bohatersko o prawo do życia Opery powiększa się o coraz nowe, cenne pozycje. Tu też odbywa się wielki festiwal oper moniuszkowskich.

Od 1933 r. do wybuchu wojny, Opera Poznańska pod dyrekcją Zygmunta Latoszewskiego wystawia m.in. „Księcia Igora" Borodina, „Cosi fan tutte" Mozarta, „Czarta i Kasię" Dworzaka, „Nieszpory sycylijskie" Verdiego, „Holendra tułacza" Wagnera, „Alcestis" Glucka, „Płomiennego ptaka" Strawińskiego... Scena poznańska wsławia się też prapremierą „Harnasiów" Szymanowskiego.

Przyszła wojna i cały zespół Opery został wysiedlony, rozleciał się na cztery strony świata...

— Tak? — spytała Basia, kiedy przed półgodziną opowiadałam jej historię Opery Poznańskiej, siedząc pod szarym, łagodnie szorstkim i ciepłym od słońca murem Teatru Wielkiego i wskazała umazanym w atramencie palcem garść pędzonych wiatrem liści, które wirowały w opę-

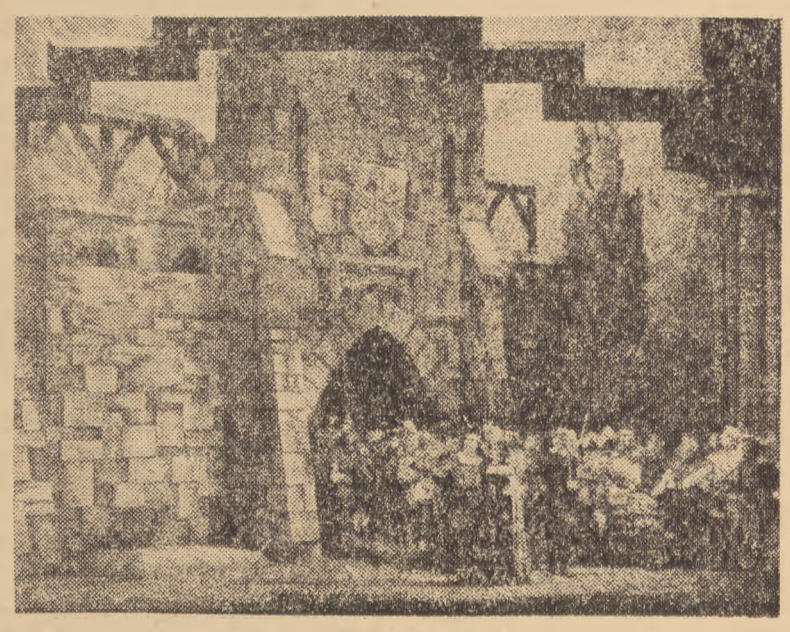

„Bunt żaków"

łańczym tańcu przed naszą ławką aż rozmiotło je nagle po kątach skweru.

— Tak samo... — odpowiedziałam wtedy i nie dokończyłam historii, bo zasłuchałyśmy się w prześliczny fragment chóralny „Carmen", dolatujący skądś z góry i ścielący się echem po ziemi. Było tak, jakby liście śpiewały spadając.

... Wszystko, czego Opera z takim trudem dorobiła się przez długie lata — zostało spalone i zniszczone. Bezpowrotnie zginęły unikaty oper polskich, bezpowrotnie zginęli ludzie. Wielu artystów i pracowników Opery nie doczekało wyzwolenia...

Ledwo w lutym Poznań powitał Armię Radziecką, już w marcu rozpoczęto organizowanie Opery pod dyrekcją Zygmunta Wojciechowskiego, a pod datą 2 czerwca 1945 r. niczym nie wzruszona Kronika chłodno i obiektywnie podaje do wiadomości: „Otwarcie Teatru Wielkiego: „Krakowiacy i górale" Kamińskiego, „Rigoletto" Verdiego, „Cyrulik sewilski" Rossiniego... Trzeba dodać, że gmach Teatru Wielkiego ocalał tylko dzięki odwadze i przytomności umysłu dwóch pracowników Opery — Romana Siminskiego i Władysława Makowskiego.

Lata późniejsze nie obniżyły górnie zaczętego lotu. Za dyrekcji Zygmunta Latoszewskiego ukazują się na poznańskiej scenie dwie prapremiery polskich baletów: „Cagliostro w Warszawie" Maklakiewicza i „Swantewit" Perkowskiego; dalej nieśmiertelny „Eugeniusz Oniegin", „Aida", „Szecherezada", „Noc na Łysej Górze"; „Cyganeria", „Faust", „Sprzedana narzeczona"... nie wymieniając wszystkich inscenizacji, które cieszyły Poznań i z nim całą Polskę.

Dalsze lata przynoszą zmianę dyrektora, którym zostaje Zdzisław Górzyński, i, obok rzetelnej pracy całego zespołu nad powiększeniem repertuaru — dwie uroczystości jubileuszowe: 45-lecie pracy scenicznej Hugona Zatheja i 30-lecie pracy scenicznej Radzisława Petera.

Tak doszliśmy do roku 1949 tego, roku upaństwowienia Opery w trzydziestolecie jej powstania, nadania jej imienia Moniuszki i oddania pod batutę Waleriana Bierdiajewa...

Słońce za oknem przesunęło się wyżej. Dolna część korony hojnie ulistnionego drzewa nasiąkła cieniem i dostojnym kolorem starego złota. Bierdiajew pochylił się do przodu:

— W niedzielę dajemy premierę „Carmen"... — ale to tylko nawpół premiera.

— Nawpół premiera...?

— Kostiumy stare! — wyjaśnia Dyrektor smutnym głosem.

— Ale opracowanie?

— Opracowanie nowe, moje, no i dekoracje nowe... tylko te kostiumy... „Hrabina" to też była nie premiera. Tam znowuż wszystko stare, oprócz — rzecz prosta — samej hrabiny — Bierdiajew mruży oczy w uśmiechu — Kostrzewska jest jedną z najlepszych hrabin w Polsce...

Pytam o najnowszą sensację muzyczną Poznania, która stała się magnesem dla całego Kraju. Bierdiajew ożywia się:

— „Jezioro łabędzie" to jest... to jest naprawdę dobre przedstawienie. Z czystym sumieniem mogę polecić obejrzenie... Miszczyk dokonał tam wielkiej rzeczy. Trzeba sobie przecież zdać sprawę z tego, że tu u nas właściwie baletu w ogóle nie było. A on z niczego zrobił prawdziwy ensemble...

Trzeba też zdać sobie sprawę z tego, na jak wysokim poziomie musi znajdować się Teatr kuszący się o wystawienie tego właśnie dzieła Czajkowskiego. Balet ten wymaga całkowitego opanowania techniki nie tylko przez solistów, ale i przez cały zespół, wysokich kwalifikacji i dużej inwencji choreografa i scenografa i pierwszorzędnej orkiestry. Opera poznańska dając nam — po raz pierwszy w Polsce po wojnie — możliwość podziwiania wielkiego dzieła wywiązała się doskonale z bardzo trudnego zadania. Stanisław Miszczyk, oprócz „zrobienia z niczego prawdziwego ensemblu", dał głęboko przemyślany układ choreograficzny i piękną kompozycję poszczególnych tańców. Soliści baletu: Barbara Kaczmarewicz i Juta Majewska w roli Odetty, Bohusław Stanczak i Władysław Milon w roli Księcia, Konrad Drzewiecki i Ryszard Radek w roli Rudowłosego — pokazali nie tylko dobry poziom techniczny, ale i dobrze przemyślaną koncepcję aktorską. Stanisław Jarocki oprawił zespół i muzykę w poetyczne dekoracje, a Henryk Czyż dał zespołowi i dekoracjom przygotowanie muzyczne przedstawienia. W sumie...

— Czy pan profesor wyciąga z tego doniosłego wydarzenia muzyczno-teatralnego naszego życia pomyślne wnioski na baletową przyszłość Poznania?

— Bezwzględnie tak. „Jezioro łabędzie" stało się przełomem w historii baletu naszej Opery...

W gabinecie zapada cisza. Bierdiajew znużonym ruchem odchyla się w fotelu ku migotliwej złocistości jesiennych liści za oknem. Ale wystarcza, że potrącam słowem o plany na obecny sezon — a młody, radosny uśmiech spędza z twarzy wielkiego dyrygenta szarość zmęczenia:

— Więc przede wszystkim „Carmen", ale to już dzisiaj teraźniejszość. Dalej, w grudniu, ściśle mówiąc dwudziestego grudnia „Książę Igor"...

— W jakiej obsadzie?

Bierdiajew sypie nazwiskami:

— Rola tytułowa — Woźniczko, syn księcia — Prząda, brat — Kossowski, dwóch pijaków — Szpingier i Katin, Jarosławna — Kawecka, córka chana — Kurowiak, chan — Mikulin... to z tych tak zwanych „najważniejszych"... Dekoracje Jarockiego, reżyseruje nasz specjalista od rosyjskich rzeczy — Popławski... doskonały... pół życia spędził tam śpiewając i reżyserując...

— A potem?

— Potem, już w przyszłym roku, „Manon" z Kostrzewską i Klonowskim, jakieś balety, ale o tym jeszcze za wcześnie mówić.. w tym się coś może zmienić... no i na zakończenie sezonu „Jolanta" Czajkowskiego. Cóż to za cudowna opera — rozpromienia się Bierdiajew — będziemy się rozkoszowali, bo i muzycznie i pod względem treści cudowna... nareszcie pogodne zakończenie, nie żadne trupy...

Cichym głosem przyznaje się, że nie znam tego dzieła. Bierdiajew uśmiecha się wyrozumiale i mówi z uradowanym, poufnym błyskiem oczu:

— W zakończeniu ślepa zaczyna widzieć... Czy nie cudowne? Aha, a łącznie z „Jolantą" damy węgierską jednoaktówkę Kodalyego, Spinnstube". Też świetna muzyka, a opera zupełnie nowoczesna... Bardzo, bardzo dobra muzyka... — powtarza i widzę, że ją słyszy.

Walerian Bierdiajew

— Czy obsada „Jolanty" już jest ustalona?

— Możliwe, że przyjedzie do nas Zielińska z Wybrzeża, a poza tym z moich, to Sowińska, Kurowiak, Kouba, Kossowski, Woźniczko... nowi wiedzą, że dobrze trzeba się namyśleć, zanim się przyjdzie do Bierdiajewa... — wtrąca nieoczekiwanie, z figlarnym wyrazem wiecznie młodych oczu.

— Namyśleć? Przecie ludzie dobijają się o zaangażowanie tutaj, żeby tylko móc pracować z panem?

Bierdiajew kiwa głową:

— Tak, tak... ale u mnie jest bardzo surowo. Wychowałem sobie cały zespół w żelaznej dyscyplinie. Inaczej nie można przecie pracować. Najwyżej dwa razy wolno im zaśpiewać poza Operą, a i to muszą mieć moje zezwolenie za każdym razem, inaczej płacą wysokie kary... Przykro to bardzo, ale cóż robić?

„Jezioro Łabędzie"

Inaczej śpiewak, zwłaszcza młody, któremu zdaje się, że ma w gardle kopalnię, zdziera się po recitalach, zaziębia w pociągach, przemęcza i dla Opery zostaje mu tylko chrypka...

Bierdiajew milknie. Czuje, że powinnam już odejść, choć każda chwila spędzona w tym gabinecie zawiera urok niepowtarzalny. Wstaje, bąkając, że „pan profesor po całym dniu prób zmęczony...".

— Podobno szaleję trochę podczas „Carmen" — mówi z uśmiechem winowajcy — ale to już taka muzyka...

Ze spęcznialego tą muzyką gmachu wychodzę w ciepły jesienny dzień. Przechodnie cieszą się nim zapewne, ale że to poznaniacy, więc całość wychodzi dość nieporadnie: szybszy krok, przelotne zerknięcie w roześmiane niebiesko niebo, dyskretne rozpięcie jesionki... Nic z radosnego wygapiania się warszawiaków na oszalałe rozrzutnością kolory drzew, żadnego zbierania kasztanów, pęków liści i krakowskiego poufalenia się z wiewiórkami... Poznaniak, biedaczyna, od urodzenia jest beznadziejnie dorosły. Zaś ale nie obraźcie się, bo setnie Was lubię, mimo wszystko.

Podeszłam do białej ławki, na której sterczała samotna figurka:

— A liście jeszcze śpiewają... — Basia podniosła umazany w atramencie palec. Siadłam obok niej pod szorstkim, nagrzanym murem Opery i słuchałyśmy razem. Chór zgodnym wysiłkiem sopranów i tenorów zwarł się właśnie na najwyższej nucie, trzymany w górze potężną dłonią dyrygenta. Wysoko, w koronach starych drzew, wibrowały w słońcu czyste tony głosów i jarzące złotem jesienne liście...

Gustaw KAMIŃSKI

Franciszek Rabelais

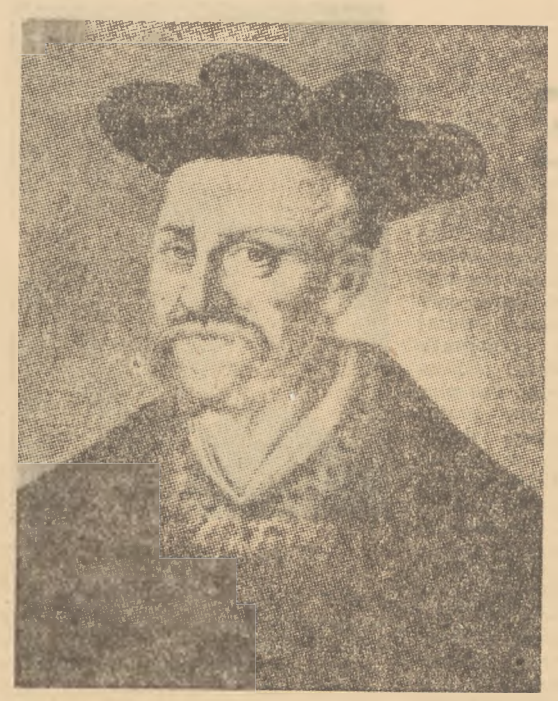

ŻYCIE i twórczość Franciszka Rabelais zbiega się z jednym najbardziej znamiennych okresów w życiu społecznym, politycznym i kulturalnym Francji. Są to lata wielkiego przełomu renesansowego, — o wiele wyraźniejszego we Francji niż u nas — lata gwałtownych starć nowych, humanistycznych ideałów ze scholastyczną reakcją, lata głębokich wstrząsów wywołanych walką rozpadającego się feudalizmu z nowym, rodzącym się ustrojem. W przeciwieństwie do spokojnego, rozmiłowanego w antyku, badaniach naukowych i sztuce humanizmu włoskiego — ten okres odrodzenia francuskiego zwykło się określać mianem renesansu wojującego.

Jak przeżył ten dzieje i zawody, triumfy i klęski młodego, wojującego odrodzenia Franciszek Rabelais? Bardzo różnie interpretowano jego postawę, podobnie jak i jego dzieło. Wydaje się, że do tak wyjątkowego zjawiska literackiego, jakim był Rabelais, każda epoka podchodzi w swój własny, odrębny sposób. Już szesnastowieczny nagrobek mówi o nim: „Będzie zagadką dla potomności". Pijak, hulaka i błazen, wesoły kompan zbyt hucznych biesiad — jak charakteryzowali go współcześni z Ronsardem na czele: autor niezrozumiałego nagromadzenia rzeczy wzniosłych obok plugawych, „chimery o twarzy pięknej kobiety i wężowym ogonie" — według zdania La Bruyer'a; filozof i mędrzec podkładający tajemną treść pod każde zdanie opowieści o przygodach baśniowych olbrzymów, pod każdy żart i facecję choćby najbardziej niewybredną — według oceny późniejszych komentatorów; czy wreszcie gorliwy bojownik renesansu, posługujący się niemal wyłącznie śmiechem jako narzędziem walki jak przedstawiła go ostatnio radziecka autorka, Jewnina. Ta ostatnia, oparta na marksistowskiej metodzie, interpretacja rzuca nowe i ciekawe światło na postać wielkiego pisarza, nie stanowi jednak pełnej syntezy jego dorobku. Przecież sam Rabelais porównał swe dzieło do beczki, w której nigdy wina nie zbraknie: „One poczciwe pijaki,... one ludzie spragnione przychodzące ku mojej beczce... jeśli chcą i winko przypada do smaku... piją szczerze, swobodno śmiało, bez żadnej zapłaty i nie licząc kusztyków. I nie bójcie się by wina kiedy brakło... Ile tylko odpuścicie kuraskiem, tyle drugie ja lejem doleję; i tak beczka zostanie wiekuista i niewyczerpana. Ma żywe źródło i wodę niewyschnioną... Jeśli niekiedy wam się zda, żebyście go wyczerpali aż do dna, nie bójcie się, nie wyschnie" (III, Prolog).

Czterechsetna rocznica śmierci wielkiego pisarza zbliżyła go do polskiego czytelnika tak dalece, że zbyteczne wydaje się raz jeszcze powracać do szczegółów biograficznych. Lata dzieciństwa spędzone na wsi i wpływ tego zżycia się z wsią na jego twórczość; trudności i skrępowanie życia w klasztorze, skąd jednak wyniósł znaczny zasób wiedzy humanistycznej zanim zdecydował się „rzucić habit w pokrzywy", wedle modnego wówczas i później określenia; wędrówki po całej Francji, studia medyczne w Montpellier, praktyka lekarska w Lyonie, słynnym podówczas ośrodku humanizmu; kilkakrotna podróż do Rzymu wraz z kardynałem Du Bellay; prześladowania i przykrości związane z wydawaniem poszczególnych części jego dzieła — oto najważniejsze wydarzenia tego bujnego i pracowitego życia, które według legendy, sam Rabelais patrząc na nie z progu śmierci miał określić jego „farsę"

Co skłoniło czterdziestoletniego bliско humanistę i uczonego lekarza, znanego ze swej filologicznej erudycji autora rozpraw naukowych do podjęcia ludowego wątku popularnych opowiadań o losach i przygodach baśniowych olbrzymów? Czy kierowała nim chęć zapewnienia sobie zysku podobnego do tego, jaki czerpali wydawcy ze sprzedaży anonimowej, straganowej broszurki „o wielkim i przeogromnym olbrzymie Gargantui". Czy też może był to świadomy zamiar dotarcia do jak najszerszego kręgu czytelników, zainteresowania ich w formie dla nich dostępnej zdobyczami francuskiego odrodzenia, chęć wypowiedzenia walki wszelkiej ciemnocie i zacofaniu groźną bronią satyry i szyderstwa? Nasza epoka odpowiada raczej twierdząco na drugie pytanie, czego dowodem wspomniana już monografia E. M. Jewniny.

Przy rozpatrywaniu dzieła Rabelais'ego należy pamiętać, że nie jest ono całkiem jednolite. Poszczególne części dziejów Gargantui i jego syna Pantagruela powstawały z długimi nieraz przerwami w ciągu dwudziestu lat. Ostatnia księga, której autentyczność często była kwestionowana, ukazała się dopiero po śmierci autora. Całość świadczy dobitnie, jak czujnie reagował on na wszystkie przejawy otaczającej go rzeczywistości, jak wrażliwym był odbiorcą wszelkich przemian społecznych. Pogodna beztroska i radosny optymizm pierwszych dwóch ksiąg pisanych w okresie gdy humanizm zdawał się triumfować ustępuje miejsca pewnej ostrożności, złagodzeniu tonu i zajęciu się kwestią bezpieczniejszą (choć również doniosłą i żywo wówczas dyskutowaną — sprawą małżeństwa) w trzeciej księdze powstałej w czasie wzmocnienia się reakcji. Gorzka i ostra satyra ksiąg ostatnich, rzadko rozjaśniona pogodniejszym uśmiechem, odbija lata upadku i załamania się nadziei humanizmu. A przecież — mimo tej różnorodności tonów i nastrojów — w dziele Rabelais'ego panuje jedność. Na wszystkich częściach twórca wycisnął wyraźne piętno swej indywidualności, swych poglądów i idei: entuzjazm dla wiedzy, prawdy i sprawiedliwości, optymizmu i wiara w człowieka, mimo iż rzeczywistość brutalnie rozwiała jego rojenia o idealnym społeczeństwie ludzi swobodnych, nieskrępowanych żadnymi hamulcami oprócz naturalnych; z wstecznictwem i ciemnotą walczy bezlitosnym szyderstwem, dla ludzkich błędów i słabości ma wiele wyrozumiałości.

W przeciwieństwie do uśmiechniętego sceptycznie Montaigne'a, patrzącego na otaczająca go rzeczywistość z pewnego oddalenia i nieco z góry, Rabelais to szermierz gwałtowny i namiętny, biorący bardzo żywo do serca wszystkie wydarzenia i reagujący na nie wybuchem entuzjazmu, gorzką ironią i szyderstwem, lub dobrodusznym, kpiącym śmiechem. W dziele swym zawarł cały swój dorobek erudycji i obserwacji życia. Z pewnym może nawet brakiem umiaru roztacza przed czytelnikiem swą wiedzę z zakresu przyrody, medycyny, architektury czy muzyki. Zna się doskonale na sztuce wojennej, zarówno dawnej, średniowiecznej, jak i nowej, przejętej od Włochów. Nie są mu obce odkrycia geograficzne owych czasów i sztuka żeglowania. W bardzo drobiazgowy sposób ukazuje współczesny mu sposób życia: ubiory, uczesanie, zajęcia wiejskie i miejskie, rozrywki i tańce; niewyczerpany jest zwłaszcza w podawaniu kulinarnych szczegółów dotyczących zarówno piwnicy jak i kuchni. Przytacza ludowe wierzenia i przesądy, wróżby i zaklęcia, zna tajniki życia klasztornego... Zresztą niesposób wyliczyć pokrótce całe bogactwo tematyki Rabelais'ego. Gdyż nie należy sądzić, że dzieło to, tak niezmiernie wzbogacające naszą wiedzę o XVI ym wieku, to jakiś traktat naukowo-obyczajowy. Rabelais umie podać cały swój zasób wiedzy w toku gawędy żywej, przykuwającej uwagę, tryskającej humorem, czasem może zbyt rubasznym, podobnym do owej beczki, z której każdy może czerpać to, co lubi.

Lecz to jeszcze nie wszystko: w utworze Rabelais'ego cała ówczesna Francja ze wszystkimi stanami przesuwa się przed oczyma czytelnika. Oto portrety władców: Anarch, a zwłaszcza Żółcik, gwałtowny, ograni czony, okrutny, rozpętujący najbardziej bezsensowną wojnę w imię podrażnionej ambicji i snujący plany podboju całego świata, o którym nie wie nawet dokładnie, jak wygląda.

Nie popadając w błędy komentatorów usiłujących pod każde prawie zdanie autora podkładać ukrytą treść, trudno jednak w osobie Żółcika nie dopatrzeć się przejrzystej aluzji do zaborczej polityki Karola V i potępienia jego imperialistycznych planów. Z drugiej strony — ideał renesansowego władcy, który tak okrutnie zawiódł Franciszek I, wcielił się postaci mądrych, pokojowo usposobionych królów, dbałych przede wszystkim o dobro swych poddanych — Gargantui i Pantagruela. Lecz te rozsądne i dobroduszne olbrzymy ukazują wiele rysów drobnej szlachty wiejskiej, której praca i rozrywki, polowania i ciche wieczory przy kominku znał dobrze Rabelais ze wspomnień własnego dzieciństwa.

Równie blisko zetknął się autor ze środowiskiem zakonnym. Widzi tam nieuctwo, zacofanie i obłudę, zamiłowanie do miski i kufla o wiele silniejsze niż do brewierza i różańca. A przecież w klasztorze znajdzie jedną ze swych najsympatyczniejszych postaci. To brat Jan Łomignat, „młody, dworny, rzeźwy, wesół, bardzo rozgarnięty, śmiały, rezolut, ryzykant, wysoki, chudy, z gębą w miarę obszerną, o dostałym nosie, wolny w młóceniu pacierzy" (Gargant., 27), nieukrzy tym i opój, ale szczery, odważny, tryskający życiem i energią.

O ile dla przywar mnichów znajdzie czasem Rabelais pobłażliwy uśmiech, o tyle scholastyczne środowisko Sorbony jest u niego przedmiotem jedynie najostrzejszej drwiny i najzjadliwszego szyderstwa; Satyryczny katalog ksiąg w słynnej średniowiecznej bibliotece św. Wiktora, nieuctwo i tępota uczonych „sorbonosłów" na czele z mistrzem Janotusem Berdyszem, którego przemówienie stanowi świetną parodię ówczesnych dyskursów scholastycznych, oto w najogólniejszych zarysach stosunek Rabelais'ego do Sorbony, streszczający się w pogardliwym wzruszeniu ramion: „Rozum? toć my nie używamy tej potrawy" (Garg. 20).

Nie większą łaskę w oczach pisarza znajduje świat palestry. Są to albo głupcy rozsądzający sprawy na los szczęścia (sędzia Pletewka, po starannym rozpatrzeniu akt wyrokuje na podstawie wyniku rzutu kości do gry), lub — co gorzej — „bardzo groźne i niebezpieczne bestie" żyjące z przekupstwa i wyciskające ostatni grosz z ludzi (statyra na Spaśne Koty w V-ej Księdze).

Oprócz lekarzy, — wspaniały portret renesansowego lekarza widzimy w osobie mistrza Rondibilis — jedynie przedstawiciele ludu zdobywają sympatię autora. Podkreśla on ich uczciwość, pracowitość, to już nie są „villains" średniowiecznych fars i bajek. Podchodzi do ludu bez sielankowego roztkliwienia, lecz z całkowitym zrozumieniem ich potrzeb i współczuciem dla ich ciężkiej doli.

Niemożliwością jest przedstawienie całej galerii typów Rabelais'ego Czasem będą to pobieżne szkice ukazujące całą postać w kilku charakterystycznych skrótach, czasem portrety starannie wykończone, zachwycające soczystością barw i plastycznością rysunku. Artyzm bowiem jest jednym z niepoślednich tytułów Rabelais'ego do nieśmiertelności. Obok całej plastyczności i wyrazistości obrazowania jest on niedoścignionym mistrzem gawędy — toczącej się swobodnie, przeskakującej z tematu na temat, a przy tym zachowującej ciągłość w sposób naturalny i niewymuszony, czego nie udało się osiągnąć żadnemu z nowelistów przed Rabelais'em; dość wspomnieć sztuczne, skopiowane z Boccaccia schemat powiązania logicznego nowel „Hentameronu". W języku Babelais'ego uderza jego bogactwo, chciałoby się wręcz powiedzieć rozrzutność. W Polsce nie ma pisarza, który by odegrał tak doniosłą rolę w tworzeniu języka narodowego. Nowsze badania filologiczne odebrały wprawdzie autorowi prawo własności do wielu wyrazów uznawanych dawniej za stworzone przez niego neologizmy. Stwierdzono liczne związki łączące go z językiem fars i nowel średniowiecznych. Niemniej jednak, nie będąc twórcą wielu terminów, jak to uważano dawniej, Rabelais w zdumiewający sposób umie operować odziedziczonym dorobkiem. Uderza bogactwo jego synonimiki: słowa wychodzące z użycia stoją obok nowych, rodzących się, „mots du terroir" obok uczonych słów ukutych na greckich czy łacińskich pierwiastkach. Rabelais jest rozmiłowany w słowie: program wzbogacenia i uświetnienia języka zostaje właściwie już zrealizowany w jego dziele i to w sposób pełniejszy, i trwalszy niż u Ronsarda czy Du Belley'a. Nie można uznać za ubogi i prostacki, chociaż jeszcze chropowaty i mało wytworny, język w którym został napisany „Gargantua" i „Pantagruel".

Szkic niniejszy nie rości sobie w najmniejszym stopniu pretensji do „wyczerpania do dna" rabelaisowskiej beczki. Raczej ma stanowić zachętę do odkręcenia kurka i rozsmakowania się w tym orzeźwiającym napoju. Dla nikogo nie braknie i każdy znajdzie wino według swego smaku.

WIELKIE

RABELAIS × KU-JUAN

MARTI

„BYŁ miłością Ameryki i cierpieniem Ameryki" pisze Juan Marinello w szkicu poświęconym sylwetce wielkiego Kubańczyka.

Jose Marti reprezentuje swą twórczością i swoim życiem najwyższe ideały ludu Ameryki Południowej, niepokonaną żądzę wolności, walkę o niezawisłość polityczną, namiętne marzenie o braterstwie ludów.

Poeta i żołnierz, polityk i pisarz, nauczyciel i mówca, działacz rewolucyjny i marzyciel, Marti jest z temperamentu i z rodzaju talentu nawskroś romantykiem, człowiekiem myśli i czynu.

Jego ojczyzna Kuba — ostatnią z zamorskich posiadłości tak wielkiego niegdyś imperium Hiszpańskiego obfitująca w cenne bogactwa naturalne była krajem skrzywdzonym przez zaborczość obcych, eksploatowanym przez obce mocarstwa, doprowadzonym do zupełnej nędzy. Ta wielka nędza kraju zachęca do walki z kolonizatorami, stąd wiek XIX jest na Kubie historią jej walk wyzwoleńczych. Duszą tych ruchów był przez długie lata największy poeta tego kraju — José Marti. W walce o niepodległość i wolność oddał swe życie najdosłowniej, ginąc w czasie walk z Hiszpanami 18 marca 1895. Działalność polityczna Martiego szła w dwu kierunkach. W dążeniu do wyzwolenia kraju spod panowania Hiszpanów, w dążeniu do ochrony kraju przed rosnącymi wpływami młodego i prężnego przez to imperializmu Stanów Zjednoczonych.

Zwalczając ciemiężycielski rząd Hiszpanii Marti cenił i szanował jej wielką kulturę, która przecież była kulturą Kuby.

Amerigo Lugo przytacza słowa Martiego świadczące o tym uznaniu dla związków łączących Kubę z krajem macierzystym.

„Nie powinniśmy zapominać, że jeżeli Hiszpanie skazali nas na śmierć, to Hiszpanie są również tymi, którzy dali nam życie." Dłuższy pobyt w Hiszpanii, głęboka znajomość jej literatury, uwielbienie dla klasyków i nieustanne nawiązywanie do nich, to wszystko łączy Martiego bardzo mocno z Hiszpanią.

O wiele większą obawę Martiego — polityka budzą Stany Zjednoczone. Jego zbiór essayów zatytułowany „America" jest świadectwem przenikliwego sądu i trafnych przewidywań poety o kraju, który był kiedyś symbolem wolności a stanie się wkrótce „areną na której zabija się wolność".

Obok uwielbienia wolności cechą która uderza w pismach Martiego jest wielka, na wskroś ludzka dobroć.

„Być dobrym — to jedyny sposób aby osiągnąć szczęście" napisał w jednym ze swych esseyów.

Ale Marti walczy nie tylko czynnie, nie tylko bezpośrednim udziałem w demonstracjach, strajkach i na polach bitew. Walczył słowem a umiał nim władać z całą znajomością jego siły, z całą umiejętnością wielkiego szermierza. Jego „dzieła zebrane" obejmują dziś wiele tomów — wystarczy je przejrzeć, aby stwierdzić rozległość skali talentu José Marti.

Artykuły polityczne — essaye, rozprawy ekonomiczne, dramaty i wiersze, oto tereny, na których Marti okazuje się niezawodnym mistrzem, zawsze żarliwym i odważnym. Jego ruchliwy i bujny talent pozwala mu przerzucać się z jednej dziedziny myśli w drugą, z jednego gatunku pisarskiego w inny. Dopomagały mu w tym rozległe wykształcenie o poziomie europejskim, erudycja, która rozporządzał i największa świetność stylu, który w jego prozie i wierszach lśni jak kryształ. Ale największą siłą jego dzieła, tym, czym każdy wiersz i każda strona pulsują jest jego gorąca miłość dla ludu, jego wielki patriotyzm. O talencie poetyckim Jose Martiego wspaniale pisze inny wielki poeta Ameryki Południowej Ruben Dario „Poezja Martiego jest kwiatem o subtelnych płatkach ale korzeniami tkwi we wnętrzu ziemi."

W tomach swoich czarujących wierszy lirycznych takich jak Versos Sentilos, Versos Libros (Wiersze Codzienne, Wiersze Wyzwolone) wyśpiewał swoje wielkie uczucie — swoją postawą i życiem głosił konieczność wysiłku i czynu, stał się symbolem i legendą swego narodu. Jest dziś bliski wszystkim, którzy walczą o wolność.

Witold OSTROWSKI

Ralph Waldo Emerson i transcendentalizm

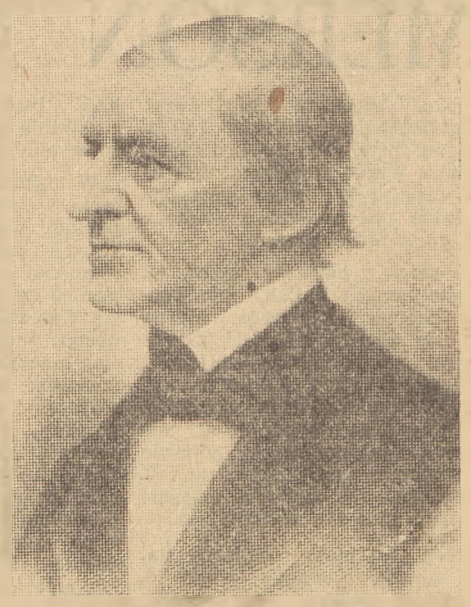

JAKŻE trudno jest czasem zrozumieć sposób myślenia ludzi innego wieku należących do innej cywilizacji. Jak trudno wyśledzić dlaczego szereg niekonsekwencji lub sprzecznych ze sobą idei mógł uchodzić za system filozoficzny. Dopiero gdy rozejrzymy się po krajobrazie epoki, zaczynamy się domyślać dlaczego podróżnicy w czasie kroczyli tą a nie inną drogą i dostrzegali takie a nie inne horyzonty.

Do takich skomplikowanych, dziś niemal zagadkowych podróżników należy amerykański filozof i poeta, „świecki kaznodzieja dla świata" — Ralph Waldo Emerson. Jest on jednym z klasyków amerykańskich o światowym wpływie i sławie, najwybitniejszym może przedstawicielem amerykańskiego *transcendentalizmu*.

Transcendentalizm powstał w Bostonie około r. 1830. Był amerykańskim wydaniem romantyzmu. Łączył rozmaite, sprzeczne niekiedy idee w jeden dynamiczny i optymistyczny prąd kulturalny, który — mimo wszystko — trzeba nazwać postępowym.

Pod względem społecznym transcendentalizm oznaczał afirmację haseł równości i braterstwa. Pod względem politycznym — obalenie przeżytków feudalnych i teokratycznych. W zakresie pojęć religijnych — wyzwolenie z wąskich ram sekciarstwa; w zakresie filozofii — reakcję przeciw racjonalizmowi i sceptycyzmowi na rzecz irracjonalizmu oraz idealizmu; w literaturze i sztuce — koniec z pseudoklasycyzmem, ducha swobody, umiłowanie natury i romantyczności. W nauce i przemyśle — dość niespodziewanie — zastosowanie metod nauk przyrodniczych.

ŻYCIE I ŚMIERĆ MĘDRCA Z CONCORD

TAKIE dążenia reprezentował Ralph Waldo Emerson. Życie jego zamykają daty 1803 i 1882. Rodził się w Bostonie, najbardziej konserwatywnym mieście Stanów Zjednoczonych, jako drugie z ośmiorga dzieci w rodzinie pastora. Ojciec umiera gdy Ralph ma 10 lat, a matka zarabia wtedy na życie stołowaniem. Uczy go i łoży na jego wykształcenie ciotka. Skończywszy Harvard College, wstępuje na studia w Cambridge (amerykańskim) i w 1826 otrzymuje pozwolenie na spełnianie obrządków religijnych w kościele unitariańskim.

Rok 1832 jest dla Emersona rokiem przełomu. Pewnego dnia młody kaznodzieja oświadcza parafianom, iż nie może celebrować pamiątki Ostatniej Wieczerzy jako ustanowionego przez Boga obrzędu o charakterze sakralnym, jak to wierzyli unitarianie, choć nie przyznawali bóstwa Chrystusowi. Dla niego nabożeństwo komunijne nie posiada żadnego głębszego znaczenia. Jest tylko symbolicznym wspomnieniem pożegnalnej uczty Chrystusa i apostołów.

Na to szczere oświadczenie parafianie odpowadają propozycją — tak charakterystyczną dla angielskiego i amerykańskiego protestantyzmu — żeby nadal głosił kazania. (przeciw którym nic nie mają), i żeby nadal sprawował pamiątkę Ostatniej Wieczerzy w takim duchu, w jakim chce. Oni będą przyjmować wino i chleb tak, jak dotychczas, w duchu unitariańskim.

Emerson uważa jednak taki kompromis za niemożliwy do przyjęcia. Czcić Boga może tylko w duchu. Odtąd będzie swobodnym *świeckim kaznodzieją dla świata — lay preacher to the world*. Będzie czasami miewał kazania, ale bez tradycyjnych obrzędów i modlitw i niekoniecznie w kościele.

Rok 1832 przynosi jeszcze Emersonowi niedomaganie na zdrowiu i śmierć niedawno poślubionej żony. Młody filozof czuje siłę wytrącony z równowagi. Jedzie do Europy raczej szukać samego siebie niż po zdrowie. Zwiedza Włochy, Francję i Anglię. Zagląda do Craigenputtock — szkockiej siedziby Tomasza Carlyle'a — poznaje jego niemieckie, romantyczne i idealistyczne sympatie i zawiera z nim przyjaźń.

Po powrocie do Stanów, Emerson żeni się po raz drugi, osiedla się na wsi w Concord i zaczyna pisać. W 1836 wychodzi pierwsza seria essejów pt. „Natura". W 1837 powstaje sław na przemowa do towarzystwa Phi Beta Kappa w Cambridge na temat „Amerykański uczony". W latach 1841 — 44 Emerson pisze i wydaje „Szkice" („Essays"). W 1847 wygłasza w Londynie odczyty — odpowiednik carlyle'owskich „Bohaterów i kultu bohaterów" („Heroes and Hero-worship"), ale opatrzony znamiennym tytułem „Przykładowi ludzie" („Representative Men"). Wrażenia z pobytu w Anglii wychodzą w r. 1856 pt. „Cechy usposobienia angielskiego" („English Traits") i stanowią wyraz uznania dla bratniego narodu. Prócz tych pism Emerson pisze trochę nieco ascetycznej, abstrakcyjnej poezji.

W 1872 pożar niszczy dom sławnego już wtedy filozofa — patriarchy i siwy już Emerson jedzie po raz trzeci do Europy. W czasie nieobecności przyjaciele i zwolennicy odbudowują mu ulubione wiejskie gniazdo, w którym czołowy przedstawiciel transcendentalizmu spokojnie umiera 27 marca 1882 r. — przeszło siedemdziesiąt lat temu.

KLUB TRANSCENDENTALNY I FARMA NAD RUCZAJEM

Ralph Waldo Emerson pozostawił wśród swoich współczesynch wrażenie „jasności i słodyczy (serene sweetness) i „nieskalanej bieli duszy" (pure whiteness of the soul). Otaczała go cała konstelacja *Transcendental Club* — luźna grupa ludzi nowych poglądów, skrajnych indywidualistów. Łączyło ich pragnienie czegoś, *co przekracza doznania zmysłów* (what *transcends* the senses) i hasło *prostego życia i wzniosłego myślenia* (plain living and high thinking).

Był między nimi pastor Amos Bronson Alcott, „nudny archanioł", ojciec autorki pełnych wdzięku „Małych kobietek", pionier wczesnego uświadamiania seksualnego, człowiek, który wolał zamknąć szkołę niż oddalić z niej murzyńskie dziecko pod naciskiem rodziców dzieci białych. W założonej przez niego gminie utopijnej *Fruitlands* wolno było odżywiać się tylko owocami i nadziemnymi jarzynami. Wszelka inna żywność była zakazana.

Drugim założycielem utopijnego eksperymentu, opartego na wzorach Owena i Fouriera, był krzepki pastor George Kipley. Jego dziełem była sławna *Brook Farm — Farma nad Ruczajem*. Był to instytut Rolniczo - wychowawczy — rodzaj spółdzielni wytwórczej w zakresie rolnictwa i kultury Jak *Fruitlands* zostały zlikwidowane przez mrozy, tak *Brook Farm* podkopał zbyt dosłownie stosowany Fourier, a zniszczył ostatecznie pożar.

Członkiem falansteru nad ruczajem i transcendentalistą był także Daniel Howthorne, autor „Szkarłatnej litery". Była nim również obrotna, rozsądna Margaret Fuller, pionierka równouprawnienia kobiet a trochę i rewolucjonistka — za przykładem swego męża hrabiego d'Ossoli, z którym uciekła przed prześladowaniem we Włoszech, aby zginąć wraz z nim i dzieckiem w burzy morskiej u brzegów ojczystych. Mickiewicz, którego poznała w Paryżu (1847) tytułował ją listach „Drogim Przyjacielem". Oboje łączył szacunek i sympatia dla Emersona.

Transcendentalistą był także Dawid Henry Thoreau, pisarz pustelnik, który wolał siedzieć w więzieniu niż płacić podatki kościelne i państwowe; i Theodore Parker, który znał opiewanego przez Norwida Johna Browna i jak on walczył o zniesienie niewolnictwa; i Oreilly A. Brownson, który od wiary w zbawienie obejmujące nawet szatana przeszedł do unitarianizmu, od unitarianizmu do transcendentalizmu, a w końcu został katolikiem.

Ralph Waldo Emerson najpełniej wyrażał ich dążenia. Uważali go za przewodnika, choć wierny skrajnemu indywidualizmowi nie chciał się z nimi wiązać w żadnych utopijnych wspólnotach. Fakt ten, być może, przyczyniał się do wytworzenia pewnej aureoli dokoła jego głowy, a może i wpłynął na większy szacunek ze strony mieszczańskiego społeczeństwa, które widziało w innych transcendentalistach błaznów i „wariatów bardziej szalonych niż mormoni".

Organem klubu transcendentalistów było pismo *The Dial*, wydawane najpierw przez Margaret Fuller i pastora Kipley'a, a poźniej przez Emersona, co było jeszcze jedną okolicznością, sprzyjającą rozszerzaniu się poglądów „mędrca z Concord".

WIELKA DUSZA NIE JEST KONSEKWENTNA

Szkice Emersona — najswobodniejsza forma literacka — są jakby rozdziałami jednej książki. Każdy z nich składa się z długiego łańcucha aforyzmów, uporządkowanych dokoła naczelnej myśli. Emerson notował aforyzmy w miarę jak przychodziły mu do głowy, a później układał z nich essej. Ta aforystyczność — a przez to zwartość i treściwość — sprawia, że nie można szkiców czytać prędko i bez pewnego wysiłku myśli. Koncentracją swą przypominają „Esseje" Bacona. Różnią się natomiast od prozy Bacona poetyczną jasnością, pogodą a nawet słodyczą — cechami przypominającymi prozę Newmana.

Nie znajdziemy w nich dowodzeń ani dowodów. Są one szeregiem twierdzeń ubranych często w metaforę. Wynika to z metody filozoficznej Emersona — intuicyjnej i irracjonalnej.

„Nie mógłbym wytłumaczyć się, gdyby mnie zaczepiono — pisał do kogoś — Nie mógłbym może podać ci nawet jednego z „argumentów", których z takim okrucieństwem się domagasz, a na których stoi moja doktryna; albowiem nie wiem, czym są argumenty w odniesieniu do wyrażenia myśli".

Dla Emersona sam fakt powstania jakiejś myśli był jakby dowodem jej prawdziwości. Ubranie myśli w szate poetyczną metafory nadawało jej pewną wieloznaczność, a więc głębię w opinii wroga racjonalistycznej precyzji i waskości. Sprzeczności Emerson nie bał się, „Wielka dusza po prostu nie ma nic wspólnego z konsekwentnością". Zresztą, w szacie metafory sprzeczność straciła na ostrości, przeciwne sobie systemy zaczynały tworzyć coś w rodzaju syntezy.

Oto przykład:

„Wszechświat posiada troje dzieci, jednocześnie zrodzonych, które pojawiają się pod różnymi imionami w każdym systemie myśli, czy są zwane przyczyną, działaniem i skutkiem, czy — bardziej poetycznie — Jowiszem, Plutonem i Neptunem, czy też — teologicznie — Ojcem, Duchem i Synem. Tu będziemy zwać je Wiedzącym, Działającym i Mówiącym. Oznaczają oni — w tej właśnie kolejności — miłość prawdy, miłość dobra i miłość piękna. Są sobie równi. Każdy jest tym, czym jest w samej istocie, tak że nie może być przewyższony ani zanalizowany; każdy z tych trzech ma ukrytą w sobie moc pozostałych a jawną swoją własną".

Irracjonalny idealizm Emersona nie był systemem, lecz raczej metodą i dlatego trudno go wyłożyć w formie systemu. Można tylko nakreślić ogólny zarys jego myśli. Emerson był swego rodzaju panteistą. Najwyższą rzeczywistością był dla niego Bóg, zwany duchem, Duszą lub Naddusza (Over-Soul), którego świadomym przejawem lub organem jest człowiek, a nieświadomym i niższym „wcieleniem" — przyroda. Jako przejaw doskonałości Bożej jednostka jest autonomiczna, sama dyktuje dla siebie prawa i obowiązki, sięgając po normy moralne wewnątrz siebie, w głębię własnego ducha, miedzy którym a Bogiem nie ma wyraźnej granicy. „Żadne prawo nie może być święte dla mnie prócz prawa mojej natury" — pisał Emerson.

Tak pojęty indywidualizm przekreślał, oczywiście, zorganizowaną religię. „Ten, kto znajduje Boga słodką, obejmującą go całkowicie myślą, nie liczy swego towarzystwa. Gdy siedzę w Jego obecności, któż się odważy wejść? Kiedy spoczywam w doskonałej pokorze, kiedy płonę czystą miłością, cóż mają do powiedzenia Kalwin czy Swedenborg?"

Doświadczywszy słodyczy i wzniosłości pewnych stanów wewnętrznych, Emerson nie tylko odwrócił się od racjonalizmu współwyznawców, lecz także uznał, że chrześcijaństwo oglądane oczyma Kalwina też zasługuje na odsunięcie, gdyż „nie jest doktryną duszy, lecz przesadą w tym, co osobowe, pozytywne, chrzęstowe. Trzymało się ono i trzyma ze szkodliwą przesadą *osoby* Jezusa".

Jednostka musi polegać na sobie. Musi sięgać w siebie po siłę płynącą z mistycznego źródła Naddusza i działać w otaczającym świecie przyrody, bo działanie jest czymś wyższym od myślenia, „charakter jest wyższy niż intelekt". Nie znaczy to jednak, by Emerson nie docenial poznania. Właśnie przyroda jest drugim źródłem poznania — manifestacja piękna, zdyscyplinowania, duchowości. Życie wśród niej urabia jednostkę, podnosi ją i zmusza do solidarności z innymi autonomicznymi jednostkami.

Z indywidualizmu filozofii Emersona wypływało wiele konsekwencji społecznych i politycznych. Z jednej strony intronizacja jednostki wymagała demokratycznej swobody i równości, a więc prowadziła do potępienia niewolnictwa i traktowania Murzynów jako ludzi równie wartościowych jak biali; z drugiej strony wymagała uznania własności indywidualnej jako prawa natury. „W rozmaitych postaciach osoby i własność muszą i będą mieć należne im panowanie".

Ten idealny obraz romantycznego nadczłowieka był po części autoportretem a po części wzorem, według którego Emerson starał się siebie kształtować. Zapatrzony w

(Dokończenie na str. 8)

ROCZNICE

MARTI & EMERSON

KU-JUAN

STAROŻYTNOŚĆ chińska, równie wspaniała, i obfitująca w legendarnych bohaterów wielkich poetów co starożytność Europy długo pozostawała szczelnie zakryta przed oczami cudzoziemców.

Dopiero w epoce współczesnej, kiedy coraz silniej dochodzą do głosu tendencje wzajemnych zbliżeń między narodami i kiedy rośnie chęć wzajemnego poznania swych kultur, odkrywamy również piękno i bogactwo chińskiej przeszłości.

Jedną z najbardziej charakterystycznych postaci tych zamierzchłych bo odległych od nas o przeszło dwa tysiące lat czasów jest właśnie Kiu Yuan, Homer starożytnych Chin.

Łączył w sobie jak nikt chyba ze współczesnych mu dwa talenty: polityka i poety. Oba doprowadzając do wielkiej doskonałości i w obu dziedzinach, w poezji i w polityce osiągając wielkie skucesy.

Jednak o dziejach jego kariery politycznej, o jego osiągnięciach i upadkach, gdy pełnił funkcje ministra na dworze władcy, wiedzą dziś tylko uczeni historycy, gdy tymczasem poezja Kiu Yuana trwa żywa i bliska narodowi tak samo jak przed tysiącami lat.

Życie znakomitego poety toczyło się w czasach niespokojnych, wypełnionych długotrwałymi wojnami, grabieżą i zamętem. Wyniszczające wojny, jakie prowadziło ze sobą siedem państw o hegemonię, były w istocie walką między krajem Kien i Kiu. Kiu Yuan przywiązany całym sercem do swej ojczyzny, właśnie kraju Kiu, bolał głęboko nad nieszczęściami, jakie na nią spadały. Widział z całą jasnością, jak zmienne są potęga i świetność, jak silna żądza władzy i chciwość ludzka.

Te właśnie zmienne i niełaskawe losy sprawiają, że wpływowy kiedyś minister traci łaski, zostaje skazany na wygnanie, musi opuścić stolicę i przez wiele lat żyć zdala od ukochanego miasta Do tych niepowodzeń osobistych wkrótce dołączają się i inne —powszechne: nad krajem Kiu zawisa fatum. Wrogowie wdzierają się zewsząd, niszczą stolicę, zajmują część terytorium. Królestwo Kiu zostaje całkowicie rozbite.

Mądre, ale rozgoryczone serce Kiu Yuana nie umiało już dłużej dźwigać tylu nieszczęść. Patetyczny do końca, jak jego poezja, udręczony tyloma ciosami, sześćdziesięciodwuletni wówczas poeta kończy życie samobójstwem w nurtach rzeki Mi Lo.

Kiu Yuan wielki dygnitarz i minister należał do kasty arystokratów, ale cierpienia ludu chińskiego nigdy nie były mu obce. Przeciwnie, w poematach Kiu Yuana dźwięczy nuta współczucia i żalu dla trosk i nieszczęść, które były udziałem nieprzebranej ludzkiej rzeszy.

Długo wzdychałem susząc łzy
Pochylony w lęku i gniewie
Patrzyłem na dolę ludu.

A w innym poemacie tak się żali:
Cierpienia ludu mego wstrząsają
mym sercem
Nie opuszczę więc kraju tego.

W epoce, kiedy uczucia patriotyczne nie były w Chinach popularne, Kiu Yuan głosił miłość do ziemi chińskiej, do jej przeszłości, do jej krajobrazu.

Poezję Kiu Yuana cechuje monumentalność form, szlachetność na stroju i treść nasycona uczuciem przyjaźni, współczucia i goryczy. W swych wspaniałych odach śpiewa piękno ojczyzny i ciężką dolę ludu chińskiego, potęgę chińskich bóstw i majestat chińskiej przeszłości. Szczególnie ody napisane w samym rozkwicie życia, poświęcone tematyce religijnej stanowią szczyt jego twórczości. Opisy nieba i ziemi, legend i faktów historycznych, składają się na potężny epos dziejów wielkiego narodu opowiedziany aż po rok 5-setny przed Chrystusem

Pamięć o Kiu Yuanie trwającą wśród ludu chińskiego, popularność jego poezji, uroczystości ku czci tego poety obchodzone w całym świecie dowodzą, jak potężne jest słowo człowieka, choćby wypowiedziane przed tysiącami lat, jeśli słowo to walczy o słuszną sprawę, jeśli zamknięte zostało w kształt wielkiego artyzmu.

M. B.

Alina ŚWIDERSKA

EMERSON A MICKIEWICZ

W roku bieżącym cały świat intelektualny obchodzi 150 lecie urodzin myśliciela amerykańskiego, Ralpha Waldo Emersona. Nie od rzeczy więc może będzie przypomnieć, jakie pokrewieństwo duchowe łączyło go z Mickiewiczem.

„Miej serce i patrz w serce", temu hasłu swych ballad młodzieńczych pozostał ich twórca wierny przez całe życie. Niewiele jednak wspólnego z tym hasłem znajdował w myśli współczesnej. Filozofia europejska szła zupełnie odmiennymi torami. U żadnego z myślicieli nie napotkał nic takiego, co by odpowiadało własnym jego dążeniom. Z tym większą też radością usłyszał odosobniony głos zza oceanu.

Emerson — mało popularny nawet we własnej ojczyźnie — był dotąd zupełnie nieznany w Europie, mimo że znajdował się już w pełni twórczej działalności. Dopiero londyńskie wydanie jego dzieła *„O przedstawicielach ludzkości"* zapoznało z nim czytelników europejskich.

Mickiewicz pilnie śledził wszystkie nowości, ta zaś pociągała już samym tytułem. Wystarczyło mu zaś od razu pierwsze powierzchowne przejrzenie książki, aby się przekonać, jak dalece zgadza się on z jej treścią. I z właściwą mu żywością impetyczną natychmiast podzielił się tym wrażeniem ze swymi słuchaczami w *Collège de France*.

Wypadł mu właśnie wykład o przywódcach tłumów (31 stycznia 1843). Nawiązując do Pankracego w „Nieboskiej komedii", której to postaci zarzucał, że poeta obdarzył ją tylko inteligencją — wyrażał pogląd na wszystkich ludzi, którzy porywają się na wielkie przesięwzięcia popchnięci jedynie siłą przeznaczenia. I dawał przykłady zaczerpnięte z historii. Mówił, że Cromwell nigdy nie chciał ujawnić wątpliwości, które go nękały nieustannie, że dlatego właśnie tyle razy usiłował zetknąć się osobiście z Karolem I, a gdy mu się to nie udało, poszedł przynajmniej zobaczyć jego zwłoki, żeby obejrzeć twarz tego, kogo skazał na śmierć. Mówił, że Danton po wielekroć czynił sam sobie okrutne wyrzuty, że Robespierre pisze w swoich pamiętnikach, iż w okresie największej potęgi biadał nad tym, iż nie może przekonać swojej kucharki o rzeczywistości tej potęgi, a zwłaszcza o jej trwałości... Sama bowiem inteligencja — twierdził — nigdy nie wystarczy do opanowania ludzi, gdyż mas nie zdoła poruszyć.

Dla poparcia swoich twierdzeń powoływał się na współczesnych mu filozofów polskich — takich, jak Wroński lub Bukaty, którzy również zaliczają inteligencję do niższych władz duszy. Obecnie zaś zaznaczył z zadowoleniem, że znalazł się obcy myśliciel, który najpierwszy ze wszystkich jakby ją odgadł, przyjął tę samą metodę rozumowania.

Tym myślicielem był właśnie Emerson. Niektóre rozdziały jego pracy były według zdania Mickiewicza jakby bezwiednym wyjaśnieniem tego, co mówią filozofowie i poeci polscy. I on także bowiem jest tego przekonania, że pierwiastkiem wszelkiego działania jest d u s z a. Ta dusza ludzka posługuje się bądź inteligencją, bądź uczuciem i zależnie od tego tworzy albo filozofię albo poezję.

W najniższych fazach swego działania — streszczał dalej Mickiewicz poglądy Emersona — ta dusza występuje najpierw jako roztropność, wznosząc się zaledwie cokolwiek nad poziom zwierzęcy. Następnie staje się filozofią, wznosi się potem do poezji, którą, jak widzimy, myśliciel amerykański stawia na stopniu wyższym niż filozofia, a wreszcie staje się m ą d r o ś c i ą. Tak więc w skali, jaką przedstawia ludzkość, ostatnie miejsce zajmują według niego ludzie roztropni, wyżej od nich stoją ludzie inteligentni czyli intelektualiści, wyżej jeszcze poeci, a najwyżej mędrcy prawdziwi. I podobnie jak w przyrodzie tak zwane imponderabilia — takie jak światło, magnetyzm lub elektryczność — są to siły materii, tylko wysubtelnione i wyswobodzone z ucisku — tak samo i ludzka inteligencja nie jest niczym innym niż pokrewną im siłą materialna podniesioną tylko do trzeciej lub czwartej potęgi.

Dusza ludzka — twierdzi Emerson — może opanować wszystko: ziemię, powietrze, parę, elektryczność, wreszcie inteligencję własną i cudzą, i wszystko użyć do celów własnych.

Któż to mógł odczuć i zrozumieć lepiej niż ten, kto mówił o sobie, że gdy spojrzy na chmury i ujrzy wysoko na ich tle ciągnące ptaki wędrowne, to może, jeśli zechce, zatrzymać je wzrokiem, że kiedy spojrzy na kometę „z całą mocą duszy", to „póki na nią patrzy, z miejsca się nie ruszy" i że „gdyby swą wolę natężył", mógłby „sto gwiazd zgasić a drugie sto wzniecić"...

Władzy tej jednak, zdaniem Emersona, dusza winna używać na to, by się za jej pomocą wznieść do tego, co filozof amerykański określa jako „duszę uniwersalną", a co Mickiewicz po prostu nazwał Bogiem.

Znalazłszy tyle wspólnego między sobą a tym nowo odkrytym myślicielem, Adam poszukiwał dalej wszelkich śladów jego działalności. Nie ograniczając się do przeczytanego dzieła, wertował rozmaite, dość mało znane pisma amerykańskie i znajdował tam teksty jego przemówień wygłaszanych na różnych zebraniach w jego mieście rodzinnym, Bostonie. Przemówienia te częściowo tłumaczył dosłownie i przedstawiał swoim słuchaczom. Zaznaczał przy tym z zadowoleniem, że Emerson nie tylko nie jest zwolennikiem filozofów europejskich, ale ich zwalcza, a nawet ośmiesza. Nie znajdował u niego nic, co by oznaczało przynależność do którejkolwiek z sekt religijnych i nazwał go „filozofem praktycznym", rodzajem Sokratesa amerykańskiego. I ze zdumieniem przytaczał słowa skierowane przezeń na zgromadzeniu robotniczym do tych ludzi prostych, pochodzących z narodu uważanego za najbardziej materialistyczny na kuli ziemskiej.

„Zgadzam się z wami, że to żywie, jakie nam urządzono, ma przebieg bardzo pospolity i wielkie ubóstwo środków. Przyznaję również, że niektóre obowiązki, jakie powinniśmy spełniać i niektóre czynności, do jakich zostaliśmy stworzeni, stały się taką rzadkością, że zaledwie mamy o nich wspomnienie dzięki paru starym książkom i pewnej niejasnej tradycji. Przyznaję, że nie wiemy, jak wygląda prorok albo poeta, człowiek naprawdę piękny i doskonały, bośmy takiego nigdy nie widzieli; że niektóre źródła oświecenia tak zostały zaniedbane i tak wygasły, że nawet ich nazwy się nie pamięta; że większość tych ludzi, wśród których żyjemy, z niechęcią słyszy o tym, iż obowiązkiem każdego człowieka jest otwierać duszę dla uniesień i natchnień Bożych. Przyznaję i rozumiem to wszystko, ale jednak myślę, że żaden z moich słuchaczy, że w ogóle żaden człowiek uczciwy i inteligentny nie zaprzeczy, iż ważną jest rzeczą dla każdego ułożyć sobie w ten sposób życie i postępowanie, aby to komunikowanie się z naturą niematerialną mogło być możliwe i odbywać się bez trudności".

Przytaczając ten ustęp z mowy Emersona, Mickiewicz — ponieważ przedmiotem jego prelekcji były narody słowiańskie — dodawał, że jeśli można przemawiać w ten sposób do Amerykanów, którym sam Emerson zarzuca brak dwóch cnót niezbędnych, to jest nadziei i miłości, to jakichże słów winni używać politycy i myśliciele chcący przemawiać do Słowian, którym nikt jeszcze nie poważył się odmówić tych dwóch właściwości: że umieją kochać i żyć nadzieją. (Wykład 21 lutego 1843).

Mickiewicz był wówczas pod silnym wpływem idei Towiańskiego, który odrodzenie ludzkości widział w narodach słowiańskich i w tych nieskażonych pierwiastkach ich natury, jakie przechował jedynie chłop słowiański, doprowadzając te poglądy do absurdu, twierdząc że każdy chłop jest sto razy mądrzejszy od wszystkich poetów i filozofów razem wziętych, i tak dalej i tym podobne. W każdym jednak razie w niektórych, wzmocnionych tylko pod wpływem „mistrza", ale rdzennych przekonaniach Adama o wybitnie rolniczym charakterze plemion słowiańskich było sporo prawdy. Zapytując tedy, jaką rolę w tym świecie uczonych, artystów i przemysłowców może odegrać naród rolniczy nie znający innego życia niż wiejskie (myślał oczywiście tylko o chłopach), oburzał się na tych, którzy narody słowiańskie chcą „zeuropeizować", czyli ucywilizować odbierając im przez to ich cechy rodzime.

Jakąż więc pociechą było dla niego czytać, co ów „Sokrates amerykański" mówił do audytorium pochodzącego tym razem z różnych sfer społecznych.

„Zastanówmy się, czy nie byłoby szlachetniej wyrzec się tych korzyści, jakie nam daje cywilizacja i powrócić do ściślejszego współżycia z przyrodą, rezygnując z tego wszystkiego, cośmy zdobyli w sposób bezprawny? Czy by nie warto zdobyć się mężnie na współpracę z przyrodą, to znaczy na powrót do pracy rąk własnych? Ależ — odpowie mi ktoś — czy podobna zrzec się opanowania przyrody i tych wszystkich korzyści, jakie nam zapewnia podział pracy? Więc każdy ma sobie sam budować chałupę, szyć obuwie, sporządzać wóz i tak dalej? Przecież to byłoby strącenie człowieka na powrót do stanu barbarzyństwa!.. Otóż wyznam szczerze, iż nie ubolewałbym bynajmniej nad rzadkością lub nawet nad zniknięciem zupełnym przedmiotów zbytku i mody, gdybyśmy za to powrócili do życia rolniczego, a to w tym przekonaniu, że wtedy moglibyśmy lepiej wypełniać obowiązki człowieka dzięki odnowieniu sumienia i oczyszczeniu upodobań".

Dziś, po stu latach z górą, czytamy z ciekawością te prorocze słowa Amerykanina, który już wówczas przeczuł, do czego może doprowadzić wynalazczość służąca systemowi wyzysku w jego własnym kraju. Dla Mickiewicza zaś, z jego wiarą w mesjanizm, nasunęło się pytanie, który z narodów świata poszedł drogą wiodącą do prawdy i jaki rodzaj życia najlepiej odpowiada zamiarom Opatrzności? (14 marca 1843).

W każdym razie dla nas w chwili obecnej ten pełen romantyzmu dwugłos sprzed wieku z dwóch stron oceanu brzmi jak coś zgoła fantastycznego!

WIERZYMY WE FRANCJĘ

(Dokończenie ze str. 2)

cuskiego i treść ostatniej noty rządu ZSRR. stwarzają warunki do konstruktywnego spotkania wielkiej czwórki w sprawie niemieckiej, spotkania oczekiwanego z niecierpliwością przez cały świat spragniony pokoju.

Pokojowe rozwiązanie problemu niemieckiego i zjednoczenie Niemiec otwiera szerokie perspektywy pełnego odprężenia międzynarodowego. Zakaz produkcji i stosowania broni masowego niszczenia, stopniowe rozbrojenie, międzynarodowa kontrola produkcji wojennej, a co za tym idzie — normalizacja wymiany handlowej i kulturalnej, znajdą pełne warunki realizacji.

W aspekcie tak wielkich możliwości szczególnie poważnego znaczenia nabiera wizyta wybitnych francuskich polityków w Polsce, mająca miejsce w chwili, gdy premier Francji bawi na Bermudach. Aktywizacja tradycyjnej przyjaźni polsko-francuskiej ma nie tylko uczuciowe, ale również i najbardziej żywotne dla interesów obu naszych krajów znaczenie, które znów — jak już nieraz w dziejach — wspólnie zagrożone są przez odradzający się militaryzm niemiecki. Naród polski jest głęboko przekonany, że na drodze wspólnych interesów narodowych, na drodze troski o niepodległość, suwerenność i pokój dla naszych krajów — oba zaprzyjaźnione od wieków narody znów odnajdą tradycyjną jedność działania.

Dominik Horodyński

Ralph Waldo Emerson i transcendentalizm

(Dokończenie ze str. 7)

pewniki swej filozofii przestał stopniowo dostrzegać rzeczywisty świat i zło w nim. I gdy w 1872 r. płynął do Europy Charles Eliot Norton, jeden z jego przyjaciół, uznał właśnie optymizm „mędrca z Concord" za bigoterię. „Dla niego — pisał — ten świat, to najlepszy ze wszystkim możliwych światów, a te czasy, to najlepsze ze wszystkich możliwych czasów". Taki optymizm — według Nortona — stał się korzeniem irracjonalnego sentymentalizmu w polityce amerykańskiej, wybaczającego politykom winy z powodu rzekomych dobrych intencji lub w gruncie rzeczy „zacnej" natury.

Ale to były sprawy późniejsze. Na kredyt Emersona możemy zapisać sympatię dla abolicjonizmu — ruchu, dążącego do zniesienia niewolnictwa; nawoływanie do postępu i tworzenia nowej kultury; głębokie szacunek dla *każdego* człowieka i tęsknotę za wielką, obejmującą całą prawdę i wszystkich ludzi religią.

REWOLUCJA DZIKIEGO ZACHODU

Słuszność i błędy sąsiadują w transcendentalizmie i są tak splątane, że dużo by trzeba czasu i miejsca, aby systematycznie oddzielić ziarno od kąkolu. Człowieka dzisiejszego zaskakuje stałe i nieraz zupełnie nieoczekiwane kojarzenie prawdy i błędu, wyciąganie słusznych wniosków z mylnych założeń i odwrotnie.

Emerson i inni transcendentaliści stają się zrozumiali dopiero wtedy, gdy rzuci się ich postacie na tło współczesnych dziejów amerykańskich.

Były to czasy nie mające odpowiednika w historii. Czasy lawinowego wzrostu obszaru i ludności Stanów Zjednoczonych. Na zachód płynęły nieprzerwanie roje traperów, — myśliwych, znanych nam z romansów Coopera i Maya; za nimi postępowali osadnicy; za osadnikami zjeżdżało się „cywilizowane społeczeństwo" — kupcy, lekarze, prawnicy. Z dnia na dzień rosły miasta i albo rozwijały się w tak szalonym tempie, jak Chicago (które jeszcze w r. 1830 liczyło 100 mieszkańców) albo zamierały nagle, by wyrosnąć gdzie indziej.

Do chwili narodzenia Emersona zachodnia granica przebiegała wzdłuż Missisipi. W 1808 kupno tzw. Luizjany od Napoleona podwoiło obszar U.S.A. Do roku 1850 obszar Stanów znów się podwoił i prawie odpowiadał dzisiejszemu terytorium.

Ci wszyscy, którym życie nie udało się na wybrzeżu atlantyckim, płynęli wielką rzeką na Zachód. Obok kapitalistycznej społeczności najstarszych stanów północnych i na pół feudalnej, na pół niewolniczej społeczności starych stepów Południa wyrastała trzecia społeczność Dzikiego Zachodu, złożona z twardych pionierów, żyjących w prostocie, zahartowanych w niebezpieczeństwach i rozkochanych w nieskończonej swobodzie puszcz i stepów.

Ten wzrost społeczności Dzikiego Zachodu stworzył przeciwwagę kapitalizmu i feudalizmu starych stanów. W r. 1829 został wybrany na prezydenta Andrew Jackson, syn biednego emigranta szkocko-irlandzkiego. Gdy z zapadłej chałupy wstąpił na stopnie Kapitolu, „wtargnęła — pisze amerykański historyk — dzika horda jego entuzjastycznych zwolenników, rekrutujących się głównie z Zachodu, rozpędziła urzędników, poprzewracała kelnerów roznoszących trunki, wlazła w zabłoconych butach na meble kryte kosztownymi materiałami i przyparła Jacksona do muru do tego stopnia, że przyjaciele musieli się wziąć za ręce i w ten sposób bronić go przed uduszeniem". W ten sposób zaczęła się „Jacksonowska rewolucja" — zwycięska walka z Bankiem Stanów Zjednoczonych i biurokracją, kampania o bezpłatne i powszechne nauczanie, o dostęp ludu do władzy. Wszystko to oznaczało demokratyzację społeczeństwa i rządów.

NARÓD W POSZUKIWANIU NOWEJ RELIGII

Drugim ważnym procesem owych czasów było tworzenie się wielkiego narodu. Na Zachodzie nie było partykularyzmu starych kolonii zakładanych przez rojalistów i republikanów, purytanów i kwakrów, zwolenników teokracji i propagatorów tolerancji, Anglików i Holendrów, Szkotów i Niemców. Istniał za to tłum złożony z potomków ich wszystkich, tłum, który nie miał powodu wspominać instytucji politycznych, społecznych i wyznaniowych swoich małych ojczyzn ze zbytnią wdzięcznością.

W tych warunkach powstawała chęć tworzenia nowego, narodowego stylu życia, nowej kultury, nowej nauki, nawet nowej religii. Pragnienie wyrwania się z pęt drobnych sekt kalwińskich na szerokie wiunokręgi jakiejś powszechnej religii i moralności, która by nie dzieliła, lecz łączyła nowy naród. Jedną z prób stworzenia takiej religii był moralizm. Drugą — transcendentalizm. I nie jest dziełem przypadku, że prorok Joseph Smith ogłosił „Księgę Mormona" — amerykański trzeci Testament — w r. 1830, który uważamy za początek transcendentalizmu, i że w dwa lata później Emerson przestał należeć do jakiejkolwiek gminy wyznaniowej.

Ten krok Emersona był zakończeniem procesu typowego dla amerykańskiego protestantyzmu. Ponury purytanizm kalwiński XVII w., znany nam z „Ucznia diabła" Bernarda Shawa, ustąpił w w. XVIII racjonalistycznemu i deistycznemu unitarianizmowi, ten zaś rozpłynął się w irracjonalnym modernizmie wieku XIX. Towarzyszył temu procesowi wzrost tolerancji i humanitaryzmu, a jednocześnie stopniowe odwracanie się od dogmatycznych podstaw chrześcijaństwa.

Wspomniany już przyjaciel Emersona O. A. Brownson zrobił jeszcze jeden krok dalej i doszedł do syntezy dogmatu i wolności, rozumu i intuicji, uniwersalizmu i indywidualizmu, czci Boga i Człowieka w jednej Osobie pełnego Chrystusa — jednym słowem — do katolicyzmu. Emersonowi przeszkodziła nieznajomość katolicyzmu, niechęć do racjonalnego myślenia, a może ów brak „ludzkiego ciepła", do którego sam się przyznawał i — idealistyczna niezdolność ukochania rzeczy konkretnych zamiast abstrakcji własnego umysłu.

I dlatego to, gdy Indianie z plemienia Nez Percé wysłali z dalekiego Oregonu poselstwo do Williama Clarka w St. Louis z prośbą o Księgę Niebiańską Ewangelii i chrzest (w r. 1831), czołowy przedstawiciel Ameryki przestawał być chrześcijaninem.

CHWAŁA I ZMIERZCH NATURY

Obok powstania demokratycznego Zachodu i tworzenia się narodu amerykańskiego był jeszcze jeden element, który wpłynął na powstanie transcendentalizmu. Było nim zetknięcie się z pierwotną przyrodą dzikich puszcz, stepów i pustyń kontynentu rozciągającego się od szarych fal Atlantyku po błękitny Pacyfik. Nieograniczona przestrzeń i nieograniczona wolność, na którą jednak trzeba było zapracować walką o utrzymanie się przy życiu z Indianami, z dzikimi zwierzętami, i przepaściami skalistych gór, z brakiem wody wśród słonych jezior i kamienistych pustkowi, z brakiem chleba w mozolnie karczowanych lasach — wytworzyły typ pioniera, opiewanego przez Walta Whitmana. Najwyższą cnotą stała się samodzielność — owa emersonowska *self-reliance*.

Przyroda stała się szkołą wysiłku i pracy. Wszystko to, co było konwencją bez treści w ówczesnej kulturze, opadało z ludzi na kresach cywilizacji. Natomiast rzeczy proste nabierały wartości. Trudne i niebezpieczne życie wymagało solidarności najskrajniejszych nawet indywidualistów. Wzniosłe piękno dzikości przekreślało przyzwyczajenie do zachwytów nad małą monotonią pseudoklasycznej kultury.

Z tego właśnie zetknięcia się ludzi miast, miasteczek i wsi z wielką przyrodą kontynentu powstał kult natury tak istotny dla transcendentalistów. Tworząc utopijne gminy wiejskie wśród sadów i nad ruczajami Nowej Anglii, starali się uniezależnić od kapitalistycznego wrzasku miast, dorównać nieokrzesanym i brutalnym, ale wspaniale naturalnym pionierom Zachodu, a jednocześnie znaleźć nową formę życia społecznego godną ogromnego narodu i pozwalającą na współistnienie indywidualizmu i uspołecznienia.

Niestety, doza indywidualizmu była za silna. W 1861 r. miała wybuchnąć wojna między Północą i Południem, zakończona zwycięstwem kapitalizmu nad feudalizmem. Zachód nie stworzył nowej organizacji społecznej i został z kolei pochłonięty przez kapitalizm. W trzy lata po śmierci Emersona powstał trust Rockefellera.

Na tle historii postacie Emersona i innych transcendentalistów nabierają sensu. Dostrzegamy w nich nie zatarte piętno wieku — jego wielkości i ograniczeń, i to w tym właśnie, w czym starali się być najbardziej ponadczasowi, *transcendentni* w stosunku do bieżącej rzeczywistości.

Witold Ostrowski

Juliusz BRAL

rys. Andrzej POL

Wczesna dojrzałość

Wojtek całym ciężarem wsparł się o korbę. Wiadro chybotało nad otworem studni, chlupocząc rozlewanym nadmiarem wody.

— Monika, weźże wiadro — zakrzyknął ochrypłym z wysiłku głosem.

Siły ośmioletniego chłopca nie zezwalały na przytrzymanie korby jedną ręką i równoczesne przesunięcie drugą wiadra na obramowanie studni. Jeszcze dobrze pamiętał ból, jakim przypłacił, przed niedawnym czasem, tego rodzaju próbę. Zwolnio na spod ciężaru ciała korba wyrwała mu się z ręki i z wielką siłą uderzyła w piersi. Tępy ból był dużym utrudnieniem w wykonywaniu codziennych obowiązków.

Tym razem Monika okazała swą użyteczność. Uklękła na obramowaniu studni, na chwilę małe jej ciało zawisło nad ciemną głębią. Krótkie rączyny schwytały kabląk wiadra. Za machem ciała w tył pociągnęła je ku sobie. Pochlupując rozkołysaną wodą stanęło wiadro na ocembrowaniu.

Wojtek nie tracił czasu, puścił nieszkodliwą już teraz korbę i uchwyciwszy wiadro, drobnymi kroczkami szybko podążał ku chacie. Ciało jego przegięło się w pasie, a wolna od ciężaru ręka kreśli po niebie chybotliwe znaki. Im ciężar był przykrzejszy, tym szybsze stawały się kroki Wojtka. Postawić wiadro w izbie — ta myśl odpędzała wszystkie inne. Jeszcze zwiększony wysiłek przy przekraczaniu wysokiego progu, pchnięcie nogą drzwi do izby i już wiadro stało na ubitej, glinianej podłodze.

Matka nie dała nawet odsapnąć Wojtkowi. Zresztą, mówiąc po prawdzie, wcale tego nie oczekiwał. Dzień był do dnia podobny, wypełniony pracą nad zdobywaniem trudnego, codziennego chleba. O wartości dnia decydowała jedynie pogoda i pora roku wpływająca na spiżarniane zapasy. Te same obowiązki o ile wydawały się lżejsze, gdy ciało ogrzewały słoneczne promienie, a brzuch wypełniony był sporą pajdą chleba. Dzisiaj, na szczęście, dzień był słoneczny.

— Wojtek, wyzeń zaraz Jagodę — matka przypominała czekający go obowiązek. Do stajni nie było daleko. Jagoda rezydowała pod tym samym dachem, jedynie wąską sienią oddzielona od swoich właścicieli. W tym przyjęciu bydlątka pod wspólny dach nie było jednak nic z pokory betlejemskiej stajenki. Pabianowie, gdyby mogli, otoczyliby Jagodę największymi wygodami. Była przecież ich żywicielką, kimś dla nich najcenniejszym.

Jagoda przywitała Wojtka życzliwym spojrzeniem swych dużych wilgotnych oczu. Wiedziała, że wyjdą razem na długą wędrówkę, złączeni ze sobą pobrzękującym łańcuchem. Wędrówka ta oznaczała dla niej wrażenia bardzo istotne, smak soczystej trawy, błogie uczucie wypełniającego się żołądka, miłe ciepło rozchodzące się po grzbiecie. Wyszła za Wojtkiem chętnie, nie ociągając się ani nie spiesząc. Znała swą wartość i umiała ją szanować.

Wojtek dobrze wiedział, gdzie najlepsza trawa, krótka, gęsta, soczysta. Pastwiska własnego nie mieli, a prawo wypasu otrzymał ojciec we dworze w zamian za odrobek. Zasadniczo Wojtek miał paść na pastwisku przez dwór do tego celu wyznaczonym. Ponieważ jednak dwór wpuścił na to pastwisko zbyt wiele krów, zapewniało ono bydłu jedynie spacer na świeżym powietrzu. Wojtek zrezygnował szybko ze wspólnego pasania. Rezygnacja nie była łatwa, na pastwisku można było puścić Jagodę swobodnie i bawić się z licznymi rówieśnikami. Zwyciężała jednak poważna, gospodarska zapobiegliwość. Przecież mleko Jagody to podstawa utrzymania całej rodziny— Jagoda musi go mieć jak najwięcej.

Odtąd Wojtek z Jagodą przemykali się po wszystkich miedzach i rowach dzielących pańskie pola. Początkowo polowi ich stamtąd ścigali, skoro jednak spostrzegli, że Wojtek dobrze pilnuje krowy, by nie szła w szkodę, ustali w swej gorliwości.

Na dzisiejszy wypas wybrał Wojtek stoki rowu przylegającego do rozległego ścierniska. Dnem płynął wąty strumyk, którego walka z napotykanymi w biegu przeszkodami pobudzała fantazję chłopca. Wojtek nogą zgarniał wyścielający dno strumyka piasek, budując tamy, i z zaciekawieniem obserwował wzbieranie zatrzymanej w biegu wody, stałą jej pracę nad usunięciem przeszkody. To znowu rzucał na prąd małe patyczki, bacznie śledząc ich bieg póki ograniczona przez Jagodę swoboda poruszania się pozwalała na tego rodzaju zabawę.

Po jakimś czasie Wojtek oderwał wzrok od strumyka. Objął nim rozległe pola i widniejące w oddali sylwetki kosiarzy. W powietrzu trwała cisza. Rozgrzane wzrastającym upałem powietrze migotliwie drgało. Na skraju ścierniska pojawiła się jakaś postać na koniu. Początkowo Wojtek nie mógł rozeznać szczegółów. Z każdą jednak chwilą stawały się one wyraźniejsze. Koń galopował niosąc na grzbiecie pochyloną ku przodowi kobietę. Czegoś podobnego Wojtek nigdy nie widział. Ubrana była w obcisłe spodnie i kurtkę męskiego kroju. Gdyby nie niesforne loki, wymykające się spod czapki z daszkiem, Wojtek myślałby, że to mężczyzna. Koń galopował prosto na rów, widocznie amazonka pragnęła go przeskoczyć. Zryw konia nie był gwałtowny, a jednak straciła przy nim strzemiona. Gdy, po drugiej stronie rowu, ciężko opadła na siodło, przestraszony koń rzucił się w bok i amazonka wylądowała wśród miękkiej koniczyny.

Wszystko rozegrało się bardzo szybko i u Wojtka nie wywołało żadnych uczuć poza zaciekawieniem. Z życzliwym zainteresowaniem przyglądał się wstającej z ziemi kobiecie. Jej jednak upadek z konia nie nastroił pogodnie.

— Czego się gapisz, durniu! — wykrzyknęła z niehamowaną złością. — Mógłbyś przynajmniej konia złapać. —

Wojtek nie zareagował. Zupełnie tak, jakby treść tego okrzyku nie dotarła do jego świadomości. Bo jakże, miał zostawić Jagodę, ażeby poszła samopas, nażarła się koniczyny i może jeszcze ją wzdęło. Ta kobieta widocznie nie rozumie, co to jest życie na wsi Konia gna bez potrzeby, zamiast użyć go do pracy, a jego, Wojtka, chce odciągnąć od codziennych, ważnych obowiązków. Miano „dureń" wcale go nie zabolało, było tak niedopasowane do niego, do jego poważnej roli współżywiciela rodziny. Nawet się nad nim nie zastanawiał.

To chyba ona, ta kobieta, nie była całkiem mądra.

Koń nie odbiegł daleko. Pozbywszy się niefortunnego jeźdźca, nie spiesząc się skubał koniczynę. Panna spojrzała jeszcze raz na Wojtka, stojącego bez ruchu.

— Przeklęte wiejskie matołki — zaklęła na swój już tylko użytek. Ostrożnie podeszła do konia i nadspodziewanie lekko wskoczyła mu na grzbiet. Za chwilę znikneła z oczu Wojtka.

Jagoda i strumyk nie zwrócili uwagi na ten drobny incydent, zajęci swoimi własnymi, istotnymi sprawami. Wojtek spoglądał chwilę na strumyk, nie widząc jego wydarzeń. Zwolna zaczął rozróżniać jego zmienny bieg, wartki między drobnymi kamykami, to znów przechodzący w lekkie tylko sfałdowanie powierzchni.

Jagoda szarpnęła łańcuch, Wojtek trochę go zwolnił i znowu zaczął rzucać patyki w wody strumienia.

Wśród książek historycznych

Bardzo ciekawą pozycję wśród książek historycznych stanowi wydana przez Państwowe Wydawnictwo Naukowe praca Henryka Zinsa pt. „Powstanie chłopskie w Prusach Książęcych w 1525 r".

Autor sięgnął do wypadków opracowanych już co prawda przez historyków niemieckich, ale nieoświetlonych specjalnie przez naszą naukę historyczną. Asumptem dla niego było natrafienie na tekst współczesnej kroniki burmistrza Królewca Rienaua o powstaniu chłopów sambijskich, wydanej już co prawda w 1125 r., lecz na ogół mało znanej. Tekst tej kroniki H. Zins przedrukował obecnie w aneksach do swej pracy.

Omawiany epizod może zbyt szumnie nazywany był powstaniem. W świetle szczegółowego jego przedstawienia [illegible] chłopów z Sambii i Natangii przeciwko [illegible] wodowanemu dodatkowymi ciężarami podatkowymi, nałożonymi na ludność dla pokrycia kosztów wojny polsko-krzyżackiej z 1519—1521 r.

Temat zasługiwał jednak na opracowanie ze względu na akcesoria tego antyfeudalnego wystąpienia. Nie było ono marginesowym epizodem w dziejach Prus Książęcych, lecz wypływało z warunków ekonomicznych w okresie reformacji wiążąc się genetycznie z wielkim współczesnym ruchem ludowym w Niemczech pod wodzą Tomasza Münzera. Specjalne charakter [illegible] hasła i żądania, z którymi wystąpili chłopi w Sambii. Mniejszą rolę niż w ideologii Münzera grały w nich sprawy czysto religijne, natomiast ostrzej i radykalniej postawione zostały postulaty społeczne, obejmując żądania pełnej równości, zniesienia pańszczyzny oraz wolnego użytkowania lasów, łąk i wód. W dziedzinie politycznej chłopi sambijscy, w odróżnieniu od ruchu Münzera, uznali centralną władzę książęcą i odwoływali się do niej dla uzyskania obrony przed uciskiem ziemian.

Wspólnie ze wszystkimi ruchami chłopskimi w [illegible] Prusach odwoływało się do solidarności z pospólstwem miejskim, które prowadziło walkę o [illegible] tem o swe prawa i współudział w rządach miast. Do prawdziwego jednak sojuszu chłopsko-miejskiego nie doszło, co zadecydowało o niepowodzeniu ruchu. Jednakże obawa przed niebezpieczeństwem powstań chłopskich była wówczas tak silna, że król Zygmunt I wysłał księciu Albrechtowi Pruskiemu na pomoc silne oddziały wojskowe z Prus Królewskich, Mazowsza i Żmudzi, a na wszelki wypadek wezwał szlachtę z Prus Królewskich do pospolitego ruszenia aby w razie rozszerzania się ruchu chłopskiego być gotowym do rozprawy z nim. Zwołani przez księcia Albrechta do zgłaszania swych skarg chłopi zostali podstępnie otoczeni przez pomocnicze oddziały polsko-litewskie i zmuszeni do wydania swych przywódców.

Zasługą H. Zinsa jest, że nie tylko szczegółowo przedstawił przebieg ruchu chłopskiego, ale dał na [illegible] społeczne omawiając całokształt sytuacji ludności wiejskiej w Prusach Książęcych od czasu bitwy grunwaldzkiej do sekularyzacji Prus. Uwzględnił też ruchy plebejskie w miastach i związek ich z całokształtem prądów reformacyjnych w Niemczech.

Natomiast należy wytknąć autorowi że nie uwzględnił całej literatury przedmiotu, gdyż pominął zupełnie podstawowe opracowanie tej sprawy przez historyka niemieckiego Tschakerta w dziele „Urkundenbuch zur Reformationsgeschichte des Herzogthums Preussen". Co prawda, sądząc z cytat z tej pracy podanych przez dr Tazbira w jego książce „Reformacja a problem chłopski w Polsce", H. Zins zdaje się słusznie przedstawił szereg ważnych fragmentów, lecz nie zwalniało to autora od zapoznania się z dostępnym dziełem traktującym o opracowanym zagadnieniu.

PRZEGLĄD PRASY

Dyskusja o literaturze dwudziestolecia

„Jednym z najważniejszych zagadnień w dzisiejszym życiu kulturalnym Polski jest problem stosunku do literatury dwudziestolecia. Sądy na ten temat wahają się od ostrego potępienia po całkowitą aprobatę dorobku literackiego lat międzywojennych. Sądy te ulegały ponadto charakterystycznej zmianie. O ile w pierwszych miesiącach niepodległości stosunek do dwudziestolecia był bardziej krytyczny, o tyle dzisiaj poczyna górować stosunek bardziej pozytywny do dorobku lat 1918 — 1938".

Nie bez przyczyny cytujemy fragment ankiety „Jak oceniam literaturę dwudziestolecia?", rozpisanej przez redakcję „Twórczości" pod koniec roku 1946: mutatis mutandis zdania te obowiązują dotychczas. I ówczesne odpowiedzi i późniejsze głosy na ten temat — przy znacznym niejednokrotnie zróżnicowaniu — zgodne są przynajmniej co do tego, że nie można odcinać się od literatury międzywojennej; spory toczą się więc o kryteria wyboru książek, które mają szanse historycznego przetrwania.

Słuszna w koncepcji i ciekawa w wynikach ankieta „Twórczości" nie wywołała jednak dalszych rezultatów. Przez ubiegłe siedem lat literaturę dwudziestolecia zaniedbano tak bardzo, że obecnie trzeba obecnie zaczynać pracę niemal od początku.

Początek ten należy dostrzec w opublikowanym przez kilka tygodniami artykule Ryszarda Matuszewskiego „My i dwudziestolecie" („Nowa Kultura" nr 40/164). Autor konfrontuje dwa przeciwstawne stanowiska: ludzi, którzy pamiętają dwudziestolecie oraz studiującej młodzieży. Cóż się okazuje? — Otóż w pamięci starszego pokolenia obraz literatury dwudziestolecia niejednokrotnie „ulega procesowi swoistej mitologizacji". Po prostu — są skłonności do przeceniania tej literatury. Młodzież natomiast — zbyt słabo orientująca się w złożoności problematyki — mierzy twórczość dwudziestolecia kryteriami dzisiejszych postulatów literackich, co musi powodować sądy najbardziej fałszywe.

Ma słuszność Matuszewski, że w obu wypadkach zawinił przede wszystkim brak naukowych i krytycznych ocen literatury tego zamkniętego już okresu. Że najwyższy czas, aby pojawiły się podręczniki uniwersyteckie, aby zajęto się nie tylko pisarzami, lecz również i krytykami dwudziestolecia (może do wymienionych przez niego nazwisk dodać jeszcze Leona Piwińskiego?); aby doczekały się opracowań czasopisma literackie tamtego okresu; wreszcie — aby wznawiano utwory zasługujące na odczytanie.

Jedną jeszcze arcyważną kwestię porusza Matuszewski w swoim artykule: kwestię „stosunku do literatury obcej nam ideowo, a swego czasu wysoko ocenianej przez burżuazyjną krytykę". „Nie ma oczywiście powodu — pisze on — rozpowszechniania dziś tej literatury, ale wystrzegać się moim zadaniem należy sytuacji, w której budziłaby ona niezdrowe podniecenie jako „owoc zakazany". Nie ma powodu unikania pewnych jej przykładów jako ilustracji tego z czym walczymy, bo walka w sferze ogólników jest dla tych, którzy przeszłości nie znają — nieprzekonywająca. Kogo dziś rozentuzjazmują np. „Czarne skrzydła" Kadena? Są one tak wymownym przykładem rozwoju tendencyj faszystowskich obozu sanacyjnego, że należałoby się nim posługiwać, oczywiście nie w sensie „lektury zalecanej", ale w sensie cytowania, wyjaśniania w celu dania pełnego historycznego obrazu epoki, walki jaka się w niej toczyła, która inaczej przedstawiać się zaczyna jako coś zupełnie niezrozumiałego".

Artykuł Matuszewskiego nie pozostał bez echa. W dwa tygodnie potem Jerzy Putrament rozpoczął trwającą do dziś na łamach „Nowej Kultury" dyskusję o literaturze dwudziestolecia. Zaczepny — a chyba nie we wszystkim słuszny — ton autora „Na literackim froncie" sprawił, iż — jak dotąd — dyskusja zboczyła z toru zasadniczego zamieniając się raczej w polemikę z Putramentem. Zapewne, nie uniknął Putrament pewnych przejaskrawień (kto wie, czy nie stosowanych świadomie?); zapewne, można kwestionować nazbyt schematyczną klasyfikację literatury dwudziestolecia, według której „...główna linia podziału(...) biegła między realizmem i wszelkimi odmianami formalizmu"; można się sprzeczać, czy „...nurt rewolucyjny dwudziestolecia należy uznać raczej za najbardziej uświadomiony politycznie aktyw szerokiego obozu postępowego, niż za nurt odrębny, przeciwstawny całej reszcie" — ale nie można nie doceniać wagi sformułowania, że zagadnienie stosunku do literatury dwudziestolecia jest „jedną z najważniejszych spraw ideologicznych w naszej literaturze", że nie ustaliwszy tego stosunku „...będziemy skazani na popełnianie grubych błędów politycznych w najbardziej codziennej praktyce naszego życia literackiego". Trzeba również przyklasnąć wystąpieniu Putramenta w obronie wartości realizmu krytycznego. „Pomniejszanie realizmu krytycznego w okresie dwudziestolecia — pisze Putrament — czepianie się słabostek naturalistycznych czy formalistycznych, których nie brakowało wtedy u wielu realistów krytycznych (ale które by się znalazło i u przedstawicieli nurtu rewolucyjnego!), antyhistoryczne ich traktowanie — są to w sumie jaskrawe przejawy tego wulgarnego socjologizmu, który w realizmie krytycznym widzi przede wszystkim jeśli nie wyłącznie ideologię burżuazyjną, nie dostrzega zaś lub nie docenia związku tego kierunku z dążeniami mas ludowych, nieświadomionych, ale przecież szukających dróg wyjścia z nieprawości kapitalizmu" — Wbrew pozorom — nie jest to przysłowiowe wyważanie drzwi otwartych. Jest to przypominanie rzeczy oczywistych być może, ale — niestety! — przypominanie konieczne.

Jeśli zauważono wyżej, iż toczona w „Nowej Kulturze" dyskusja o literaturze dwudziestolecia odbiegła trochę od tematu zapowiedzianego w nagłówku — to jednak wolno przypuszczać, że i takie wyjaśnianie przy okazji „nieporozumień ideologicznych w naszej krytyce" jest nader pożyteczne. Świadczy o tym najdalej artykuł (ostatni do tej pory) Artura Sandauera („N. K." nr 41/165)

(Dokończenie na str. 11)

Karol KOŹMIŃSKI

WIZJONER ARCHITEKTURY

W roku bieżącym mija 25 lat od zgonu Stanisława Noakowskiego — architekta, malarza, historyka sztuki i znakomitego nauczyciela. Noakowski, jego przebogata i tak niezmiernie różnorodna twórczość, jest pewnym fenomenem w dziejach naszej sztuki, jest zjawiskiem zupełnie wyjątkowym, jak dotąd niepowtarzalnym.

Był mistrzem. Potrafił wypowiadać się najprostszymi środkami. Parę grubych kresek, rzuconych jakby od niechcenia, jakby niedbale, jakaś plama barwna, coś z brązu czy ciemnej czerwieni. Ta plama nie pokrywa jednak całości danej powierzchni, cóż tworzy przez to? Błysk, promień światła na gładkim marmurze posadzki, na tafli zwierciadła. Czy chcemy przez to powiedzieć, iż paleta jego była uboga? Nie. Była oszczędna. To wszystko. Przy całej skromności stosowanych środków Noakowski jak nikt inny potrafił oddawać materiał, z którego powstała rzecz, na którą patrzał. Żywy, ciepły miąższ profilowanych belek cedrowego pułapu, twardość kamienia, w którym rżnięto przepyszne, renesansowe oprawy kominków, dzwoniące zda się kryształowe wisiory świeczników czy sztywne, a przecie układające się w fałdy, tkaniny gobelinu.

W tym, co mówił swą sztuką o rzeczach widzianych naprawdę czy tylko oczami swej wyobraźni, swej fantazji twórczej — kieruje zawsze naszą uwagę na rzeczy najważniejsze. Chce dać nam jakby syntezę rzeczy widzianej. Patrząc na jego prace, jakby słyszymy jego głos: nie rozpraszajcie się, nie gubcie się w szczegółach. One są tu nieważne. Ważna jest w danej chwili uciekająca w głąb perspektywa wnętrza: czy dalekі, zamglony horyzont pejzażu; czy okno przecięte krzyżami ram, przez które wpada światło.

Nie wiemy, kogo mamy bardziej w nim podziwiać. Czy natchnionego, czującego gorąco artystę, czy znakomitego nauczyciela, któremu ileż wiedzy zawdzięcza wychowane przezeń pokolenie architektów stające dziś do olbrzymich zadań budownictwa, konserwacji zabytków, tworzenia rzeczy zupełnie nowych w nowej Polsce dzisiejszej.

Był dzieckiem Kujaw. Dnia 26 marca r. 1867 urodził się w Nieszawie — niewielkim, starym miasteczku — i pierwszy świat, jaki oglądał, to ubogie domki tego miasteczka, skromny kościół parafialny z barokowym, jak większość naszych świątyń, ołtarzem, może i gmach ratusza z pretensją do stylu klasycznego, który tak silne piętno wycisnął na „reprezentacyjnych" budowlach Polski XIX wieku. Miasteczko więc, ale z pewnością i wieś polska, chałupy chłopskie słomą kryte, barwne pasiaki pól, błękitny aksamit lasu zamykającego horyzont. Te pierwsze wrażenia żywo, na zawsze utrwalają się w pamięci. Budzą głód tworzenia. Już jako uczeń szkoły średniej Noakowski rysując zawzięcie—wcześnie odnajduje swoje powołanie. Ma lat dziewiętnaście, kiedy wyjeżdża do Petersburga i wstępuje tam na wydział architektury Akademii Sztuk Pięknych.

Odtąd długie lata spędzi w Rosji. Pozna Petersburg i Moskwę z całą odrębnością, swoistością całą ich stylów. Ale po ukończeniu studiów wyjeżdża za granicę, zwiedza miasta niemieckie i flamandzkie, Włochy, przede wszystkim jednak Paryż i w mieście tym lubuje się zwłaszcza w ciasnych, wąskich uliczkach starych dzielnic.

Porywają go jednak tutaj swoim przepychem i ogromem oglądane wnętrza pałaców Wersalu, Fontainebleau czy samego Paryża. Wnętrza te odtwarza w cyklu świetnych akwarel i zdobywa nimi sukces prawdziwy. W wieku lat 32 rozpoczyna pracę nauczycielską: zostaje mianowany profesorem historii sztuki w Stroganowskiej Szkole Sztuki Stosowanej w Moskwie.

W czasie wykładów rysuje swym uczniom kredą na tablicy rzeczy, o których mówi. Są to początkowo rzeczy konkretne, szkice budowli istniejących, ale bogata, żywa, twórcza wyobraźnia artysty rozsadza szybko ramy konkretu. Mówi swym uczniom, co w jaki sposób zbudowane zostało. Mówi im także, co w jaki sposób można będzie zbudować. Co zbudują oni. Co stworzy on sam.

Oto źródło wizji artystycznych, w których Noakowski naprawdę się odnajdzie, które odtąd wypełnią treść jego życia, którym wierny pozostanie do zgonu, do końca.

Późną jesienią roku 1918 Noakowski powraca do Polski. Ma lat pięćdziesiąt. Przywozi z sobą olbrzymi zapas wiedzy i doświadczenia. Jest jako artysta w pełni sił. Obejmuje katedrę historii sztuki na wydziale architektury Politechniki Warszawskiej, jest przez czas jakiś dziekanem tego wydziału, wykłada w Szkole Sztuk Pięknych, bierze udział w pracach budowlanych i konserwatorskich, wystawia swe prace w „Zachęcie", w wydziale Architektury, w Klubie Artystycznym w hotelu Polonia. Plastyka mu nie wystarcza. Noakowski pisze, ogłasza swe poematy — to przecie znów wizje malarskie: „Ołtarz barokowy", czy „Zamiast rysunków", pisane prostym, szczerym językiem. Uwielbiany przez uczniów — oddaje im cały swój zapas, cały zasób zdobytych długimi latami i benedyktyńską pracą umiejętności. Tworzy z niesłabnącą pasją, do ostatniego dnia życia, mimo nurtującej go ciężkiej choroby, która tak przedwcześnie przecina pasmo jego życia. Umiera nagle dnia 1 października r. 1928.

Stowarzyszenie Architektów Polskich uczciło dwudziestą piątą rocznicę zgonu Stanisława Noakowskiego wystawą stu nieznanych dotąd prac artysty. Część ich pochodzi ze zbiorów Muzeum Narodowego, niektóre są własnością prywatną. W oglądanych tu rysunkach, akwarelach i szkicach raz jeszcze staje przed nami mistrz rozkochany do szaleństwa w sztuce. Raz jeszcze jego oczyma oglądamy złote kopuły cerkwi Kijowa czy Moskwy. Świątynie renesansowe przeglądające się w wodach kanałów Wenecji. Zamki Paryża, wnętrza barokowych pałaców, zasnuty mgłą tęsknoty pejzaż wsi polskiej.

I zdjęcia fotograficzne owych kredą na tablicy z całą pasją namiętnej miłości kreślonych szkiców, ktorymi zgasły mistrz uczył ludzi budujących dziś domy nowej Polski

Zamek

Zespół architektury barokowej

Janina PIASKOWSKA

Roman Pisarski — „Piernikarze z Torunia"

Opowieść sceniczna w III aktach.

Państwowy Teatr Ziemi Pomorskiej w Toruniu.
Reżyseria: Malwina Szczepkowska.
Kompozytor: Florian Dąbrowski.
Scenograf: Wacław Kosiorek.

W Muzeum Toruńskim możemy oglądać prześliczne formy rzezane kunsztownie w drzewie, służące ongiś do wypieku ozdobnych pierników. Cieszą one nasze oczy swym renesansowym pięknem. Niestety nie znamy nazwisk ani historii artystów, którym to piękno — to wzbogacenie naszej kultury mamy do zawdzięczenia. Wiemy tylko, że byli to ludowi artyści – snycerze, ci sami, którzy rzeźbili kościelne świątki, meble i bramy ówczesnych kamienic.

Opowieść sceniczna Romana Pisarskiego o piernikarzach toruńskich wyczarowuje przed nami jednego z tych anonimowych ludowych artystów i ukazuje go w roli toruńskiego rzemieślnika, jako snycerza Janka opromienionego miłością pięknej Kasi piekarzówny. Janek rzeźbiąc nowe piękne formy do pierników pchnął rzemiosło toruńskich piernikarzy na nową drogę, na drogę do sławy i dobrobytu. Ale nie poszło to łatwo. Aby zdobyć rynek dla pierników, które wypieka ojciec jego ukochanej Kasi, Janek nie tylko rzeźbi piękne formy piernikowe, ale staje się prowodyrem walki, którą prowadzi cech piernikarzy z patrycjatem miejskim. Ze strony patrycjatu występuje bogaty kupiec Ambroży, zalotnik ślicznej Kasi piekarzówny. Bogacz sadzi, że ruina warsztatu ojca rzuci Kasię w jego ramiona, toteż walczy wszelkimi sposobami, żeby pierników na rynek nie dopuścić. Wszystko kończy się dobrze — zwycięstwem cechu piekarzy i małżeństwem ślicznej Kasi z ukochanym Jankiem. Rzecz dzieje się w czasie, kiedy Toruń pięknie rozkwitał w epoce polskiego Odrodzenia w końcu XVI stulecia. Jak wiadomo, w owym czasie rybałci w swoich buntowniczych komediach i satyrach byli wyrazicielami sumienia społecznego — Pisarski w piernikarzach z Torunia nawiązuje do komedii rybałtowskiej dużym ładunkiem satyry społecznej, tematyka ludową i forma prostego, lekko archaizowanego wiersza. Prostota i bezpretensjonalność, to śliczny czysty ton, który dźwięczy w całym utworze. Nie wynika stąd jednak, że sztuka Pisarskiego nie ma błędów. Nie tylko je ma, ale są to błędy można by powiedzieć klasyczne dla poety, który zaczyna pisać dla sceny — a mianowicie: Pisarski nie zdaje sobie jeszcze sprawy, że akty powinny mieć mocne lub interesujące pointy i że najmocniejszą pointę powinien mieć akt drugi. Otóż w sztuce Pisarskiego akt drugi kończy się nieefektownie i jest zdecydowanie za krótki. Cały utwór jest trochę za krótki — co się da łatwo naprawić rozbudowaniem drugiego aktu.

Co do dialogu, to na razie można tylko to powiedzieć, że autor operuje wierszem lekko i plastycznie, różnicując sposób mówienia każdej z postaci, co wydaje się dobrą zapowiedzią.

Omawiając prapremierę „Piernikarzy z Torunia" Romana Pisarskiego w Teatrze Toruńskim trzeba stwierdzić, że autor miał dużo szczęścia. A więc przede wszystkim sztuka dostała śliczną ilustrację muzyczną, skomponowaną przez profesora Floriana Dąbrowskiego. W muzyce Dąbrowskiego, jest i epoka, i poezja, i to co najtrudniejsze a bardzo pożądane: jest w tej muzyce nie tylko lekkość, ale i dowcip muzyczny. Mimo to trzeba stwierdzić, że za wiele jest scen śpiewanych. Że sama sztuka mówiłaby lepiej, gdyby aktorzy więcej mówili — nawet na tle muzyki, ale mówili. Utwór na skutek zupełnie wyraźnej wymowy społecznej powinien mieć dynamikę szczególnie w wykonaniu scen zbiorowych. Tymczasem dynamika rozpływała się w śpiewie. Zwłaszcza akt drugi jest zdecydowanie „prześpiewany". Niemniej ilustracja muzyczna jest bardzo udana.

Drugim udanym elementem przedstawienia są dekoracje zaprojektowane przez Wacława Kosiorka. Dekoracje Kosiorka są pomysłowe i dowcipne, w miarę umowne, siedzą dobrze w epoce, a co najważniejsze — są artystyczne.

Również (a może przede wszystkim) sztuka szczęśliwie trafiła do rąk reżysera Malwiny Szczepkowskiej. Szczepkowska nadała przedstawieniu właściwy ton poetyckiej prostoty, wprowadziła do sztuki dużo humoru, ruchu, barwy i dźwięku; słowem potraktowała sztukę Pisarskiego z całą pasją, na jaką stać twórczego reżysera. Rezultaty pracy Szczepkowskiej są widoczne jak na dłoni i bardzo, naprawdę bardzo dobre. Jest tylko jedno „ale" od reżysera niezależne: nie można zainscenizować tłumnego zebrania (na rynku w trzecim akcie) nie mając do dyspozycji choćby kilkunastu statystów. Kilku aktorów, którzy grają w sztuce. Szczepkowska dwoi i troi, każe im wychodzić za kulisy, wydawać stamtąd okrzyki, a potem wracać; to wszystko nie pomaga — w tłum nie możemy uwierzyć i jest nam smutno, że ktoś umniejszył efekt końcowego aktu i piękny wysiłek reżysera i zespołu.

Na czoło wykonawców wysunęła się Aleksandra Koncewicz w roli ślicznej Kasi. Nie stało się to dlatego, że Koncewicz jest naprawdę śliczna i młoda — ale dlatego, że grała prosto, ciepło, bez efekciarstwa i bez maniery. Dlatego, że naprawdę była Kasią, polską dziewczyną z ludu, pełną dziewczęcego wdzięku, świeżości i wesela. Koncewiczówne czeka piękna przyszłość sceniczna. Do ugruntowania tej przyszłości przyczyni się zapewne jej dobry głos, który pozwoli tej zdolnej aktorce zająć wybitne miejsce na scenie muzycznej.

Juliusz Przybylski był dobry jako dzielny snycerz Janek, pomimo że rola została częściowo pozbawiona dynamiki na skutek przeładowania śpiewem.

Helena Radwan Łodzińska w roli piekarzowej Klotyldy bardzo dobra, zabawna i pełna temperamentu.

Zbigniew Mak jako bogaty kupiec, w charakteryzacji ciekawy i pełen umiaru, ale w interpretacji roli monotonny w akcentowaniu i geście.

Dobrze wywiązali się ze swoich ról: Józef Sadowski, Zbigniew Gawroński, Stanisław Kosmolewski, Lesław Mazurkiewicz, wreszcie cały zgrany i ofiarny zespół łącznie z Piotrusiem, którego nazwiska afisz niestety nie podaje.

Na specjalną uwagę zasługuje młody aktor Tadeusz Pelc grający waganta. Pelc ma duży temperament sceniczny, swobodę i opanowanie środków wyrazu godne uwagi i opieki.

Sceny mimiczno-taneczne układu Aleksandra Napory przydały przedstawieniu wiele humoru i były dopełnieniem udanej inscenizacji reżysera Malwiny Szczepkowskiej.

W sumie urocza zabawa dla osób od lat pięciu do dziewięćdziesięciu pięciu. — Wychodząc z teatru żałowałam, że wyjeżdżam i nie mogę zobaczyć przedstawienia po raz drugi.

Stanisław ZYGLICH

POSZERZMY PODWÓRKO...

Tak się już powszechnie utarło (a w każdym bądź razie w naszym piśmie), że teatr małych form, teatr satyryczny wydaje się tak zwanym poważnym recenzentom czymś niepoważnym, czymś, co rzekomo usprawiedliwia lekceważące machnięcie ręki: „et, taka tam podkasana muza"!

Adolf Dymsza
rys. J. Żebrowski

Na szczęście są ludzie mniej poważni, którzy starają się traktować poważniej bardzo poważną sprawę naszych warszawskich teatrów satyrycznych. Wyżej i niżej podpisany towarzyszył wydarzeniom naszych obydwu małych scen od początku ich istnienia, pisał na gorąco kronikę wzlotów i upadków, wypada mu więc niejako „z urzędu" zająć się najnowszym na jednej z tych scen zjawiskiem.

Warszawski teatr satyryczny „Syrena" wystąpił w połowie listopada z nowym widowiskiem pt. „Na naszym podwórku". Od dawna oczekiwano od tego teatru zmiany programu. Program poprzedni („Wesoły przegląd") był tylko zlekka odświeżoną kompilacją ciekawszych fragmentów, wyjątków z programów oglądanych przed rokiem. Zaczynało pachnieć starzyzną. Premiera przerwała okres nudy w stanie jej szczytowego napięcia.

Przyszło więc mnogo ludu. Chciwi śmiechu, żądni zabaw i spragnieni dowcipu — śmieli się ochoczo i dużo, klaskali chętnie i szczerze, bawili się dobrze i przyjemnie, bo kształcąco. Nie było śmiechu tzw. homeryckiego, nie było braw tzw. huraganowych, ale klimat widowiska przypominał chwilami dobre, dawne czasy „Syreny", kiedy to oczarowała wszystkich swoim programem telewizyjnym. Ktoś, kto pamięta wszystkie spektakle, mógł po obejrzeniu ostatniego powiedzieć: „No, jeszcze niestety nie to, ale już na szczęście nie tamto".

Więc — co?

Nowe widowisko „Syreny" jest barwną, żywą i pomysłowo skomponowaną całością. Koncepcja „fabularnego" niemal powiązania poszczególnych numerów, dowcipne zastąpienie normalnej konferansjerki (która w poprzednich programach nużyła już publiczność i Rudzkiego), błyskotliwą miejscami rozmową między gońcem (Danuta Mancewicz), sekretarką (Alina Jankowska) i dozorcą (Stanisław Woliński), wreszcie odstąpienie i od tej formy na rzecz pseudo amatorskiego zapowiadania Dymszy, przejmującego konferansjerkę w drugiej części — wszystko to wzbogaciło kompozycyjną oprawę. Dopełniły ją dyskretne i plastyczne dekoracje Zamby i St. Lipińskiego, z których dekoracja „Warszawskiej nocy" słusznie zdobyła dla siebie należne jej oklaski.

W tych ramach kompozycyjnych zawarta treść satyryczna działała sugestywniej i skuteczniej. Jej sugestywność podnosił zbiorowy i indywidualny wysiłek całego zespołu. O nim należałoby mówić przede wszystkim. Trudno w prasowym sprawozdaniu znaleźć miejsce dla szczegółowej analizy dokonań i błędów aktorskich, zarejestrowanych przez widza. Trzeba się będzie pokusić tylko o sformułowanie wniosków.

Ale przed tym jedna uwaga ogólna o merytorycznej zawartości widowiska. Uwaga krytyczna: Jest w doborze tematów, w sposobie ich autorskiego potraktowania coś ze zbyt ciasnego podwórka, ze zbyt sztampowego nawracania ku sprawom ogranym. O emigracji, remilitaryzacji, biurokracji trzeba pisać, ale zawsze w innych proporcjach. Zawsze w inny sposób. Walczmy o poszerzenie satyrycznego podwórka, starajmy się o pełną skalę satyrycznego koncertu humoru, przypominajmy stale, że walka o nowe musi być walką prawdziwą w ciągle nowy, odkrywczy, pełen twórczych niespodzianek sposób.

Aktorzy „Syreny" lepiej to rozumieją niż autorzy. Ich inwencja aktorska chwilami zasługiwała na wysokie uznanie.

Oczywiście Dymsza przede wszystkim. Pisać pochwałę jego talentu komicznego — to pisać truizmy. Dlatego, oddając mu ciągle niezachwiane pierwszeństwo, odważmy się na kilka wątpliwości. Czy Dymsza nie gra samego siebie? Tego co nudni klasyfikatorzy metod przemawiania gestem wpiszą kiedyś pod rubrykę „Dodo"? Są tam jakieś zabawne podskoczki, gibnięcia, zmienne maski twarzy, które już się widziało, pamięta. U kogo? Od kogo? U Dymszy. Ot, choćby ten podryg przy wierszu „Wiadomo Stolica". Albo zabawna pląsanina przy monologu o bezalkoholowej zabawie. Albo tricki uśmieszkowe w konferansjerce drugiej części. Kontrastowało to z opanowanym komizmem skeczu pt. „Podanie". Warto się nad tym zastanowić.

Warto zastanowić się nad występami popularnej Stefanii (dlaczego zawsze Stefci?) Górskiej. Aktorka ta wyspecjalizowała się w dwóch rolach. Pierwszy typ: bobasek, taka mała, kociątko, ot, właśnie jak w ostatnim programie „Baba-Bobo". Drugi typ:

Stefania Górska
rys. M. Walentynowicz

pyskaty babus, plotkarka, wyszczeka na paniusia, głupawa cwaniaczka, ot, właśnie jak w ostatnim programie pedicurzystka ze skeczu „Nie wróci kochana". Te dwa typy ról wytwarzają dwa typy chwytów aktorskich: przy pierwszym natrętnie powtarzane falowanie biodrami, szczebiotliwy głosik, pseudo-panterowate wygięcia tułowia, przy drugim — skrzekliwa modulacja głosu, zawadiackie podrzucanie ramion itp. Przydałoby się coś nowego. Może współzawodnictwo talentów aktorskich z zawsze nową, choć ciągle tą samą Ireną Kwiatkowską.

Trzeba mówić o tych wątpliwościach otwarcie, bo mowa o dobrych aktorach. Lepsza chyba taka wobec nich postawa niż stereotypowe stwierdzenia: „na własnym poziomie", „klasa dla siebie", „czarująca", „urzekająca swym genrem"...

I o innych należałoby dokładniej.

O takim Jankowskim. Jego gra jest grą aktora świadomego swej vis comica, leżącej w naturalności spokojnej twarzy, w swobodzie rozsądnie eksponowanego gestu. Umiał sekundować Dymszy w „Podaniu", doskonale dawał sobie radę z trudnym zawsze w wykonaniu tekstem Wiecha. (Wtrąćmy tu nawiasową przyganę: to brzydko tak skiksować, jak w „Poetyckim artykule", skiksował Jankowski 15 listopada, całej sali było przykro, chciałby podpowiedzieć razem z ociągającym się suflerem...)

A Olsza? Chyba za mało go wykorzystano. Jako „Ofiara fachowości" śmieszył równie bezpośrednio, jak i w balladzie o Pliszce, znanej z poprzednich programów. Inna rzecz, że i on trochę za bardzo przypominał ...siebie.

Zwróciła też uwagę na siebie Irena Malkiewicz. Tym razem właściwy jej patos recytacyjny i nazbyt stylizowana gestykulacja doskonale podporządkowane zostały tekstowi wiersza. Oczywiście, wzruszał sam wiersz „Ręce kobiet" Gałczyńskiego, ale recytatorka wydobyła z niego całą siłę wzruszenia. W „Warszawskiej nocy" natomiast więcej od niej musiała się podobać i wzruszać... dekoracja.

Nie sposób tu wymienić wszystkich, musielibyśmy bowiem grzeszyć banalną cenzurkowością, że Witas — żywy, Grossówna — zrównoważona, Mancewicz i Jankowska — sympatyczne, Woliński — zabawny, a Michałek — ciekawie się zapowiadający. Lepiej z tego zrezygnować oddając wszystkim sprawiedliwość stwierdzeniem, że nie łamali akcji, zespajali się w równą całość.

Osobna uwaga należy się baletowi. Parnell i jego zespół ciągle dają pomysły nowe i oryginalne. Najciekawsza była niewątpliwie „Scena z roku 1939". Ten taniec „z wydźwiękiem" był cały czas tańcem. To bardzo trudne i bardzo ważne.

No, a wnioski dotyczące całości?

Pouczająca i dobra zabawa. Jednak można bawić się lepiej i ciekawiej, tylko — poszerzmy podwórko...

Dyskusja o literaturze dwudziestolecia

(Dokończenie ze str. 9)

Stwierdzając że „...słuszna ideologia nie daje gwarancji pisarzowi, iż potrafi w swych utworach dać realistyczny obraz świata" i udowadniając, że „...dzieła sztuki nie należy oceniać wedle abstrakcyjnie sformułowanych kryteriów postępowości, tylko bowiem konkretny z nim kontakt, nie zaś streszczenie ideologiczne może dać jej miarę" — Sandauer pisze: „Na ogół jednak krytycy nasi poprzestają na ocenie dzieła według zawartych w nim ideologicznych deklaracji. Ponieważ jednak metoda ta nie zawsze daje trafne wyniki i nie zawsze realizm, odkrywczość pisarza pokrywają się z jego światopoglądem, więc muszą oni niedostatki swej abstrakcyjno-ideologicznej metody łatać powoływaniem się na oderwane rzekomo od treści „wartości formalne". W ten sposób wprowadzają niepostrzeżenie podwójną buchalterię: to ideologiczną, to formalistyczną. Że zaś dla oceny owych oderwanych od treści „wartości formalnych" potrzebny jest jakiś kodeks, więc tworzy się nową poetykę normatywną, coś w rodzaju socjalistycznego Boileau, dekretując np. pewne formy wersyfikacyjne jako dopuszczalne, inne — jako niewskazane przy czym zapomina się o podstawowej zasadzie marksistowskiej w myśl której „każda forma jest dobra jeśli służy treści". Broniąc nie nowej — jak sam przypomina — zasady podziału literatury na realistyczną i antyrealistyczną, wskazuje Sandauer na konieczność każdorazowego zdefiniowania, czym dany realizm „różni się od realizmu epok poprzednich" (podkr. autora). I jedną z przyczyn nieporozumień w naszej krytyce widzi w „utożsamianiu techniki realizmu krytycznego z realizmem w ogóle". W odniesieniu do literatury dwudziestolecia rzecz ta wygląda — jego zdaniem — następująco: „Ponieważ prozaicy i poeci lat 1926-1939 odrzucili ukształtowane w okresie realizmu krytycznego formy narracji i wersyfikacji, sięgnęli zaś do dawniejszych lub wytworzyli nowe, same w sobie bynajmniej nie sprzeczne z realizmem, więc krytycy nasi metody te, rzeczywiście do XIX-wiecznych nie podobne, odsądzają od realizmu w ogóle".

Tak więc — po wypowiedzi Sandauera dyskusja wyjdzie chyba z impasu. Zapowiada się w każdym razie ciekawie.

abe

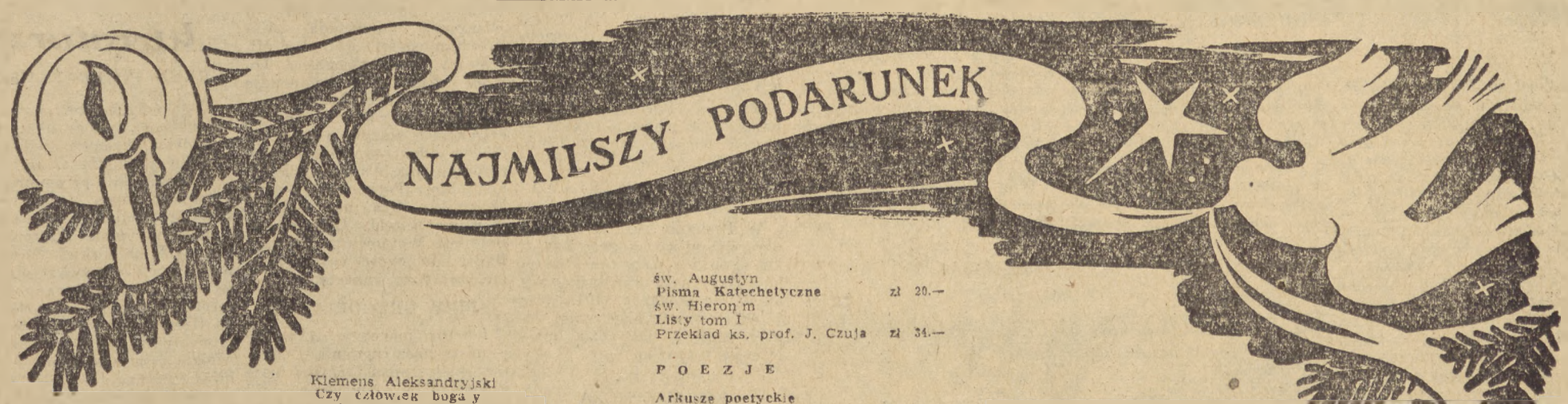

KSIĄŻKI RELIGIJNE I NAUKOWE

Będziesz miłował
Modlitewnik dla dorosłych zł 25.—
Ks. prof. E. Dąbrowski
Dzieje Pawła z Tarsu
Oprawa kartonowa zł 75.—
Oprawa płócienna zł 105.—
Ks. prof. E. Dąbrowski
Prolegomena do Nowego Testamentu zł 20.—
Th. Deman O. P.
Chrystus Pan i Sokrates zł 20.—
Jan Dobraczyński
Jezus Chrystus i Jego Apostołowie zł 15.—
Etienne Gilson
Wprowadzenie do nauki św. Augustyna
Oprawa kartonowa zł 45.—
Ozdobna oprawa płócienna zł 81.—

Klemens Aleksandryjski
Czy człowiek bogatym może być zbawiony zł 9.—
Wanda Leszczyńska
Idę do ciebie
Podręcznik katechetyczny zł 12.—
Zygmunt Lichniak
Poeta konsekwencji
(rzecz o Jerzym Liebercie) zł 12.—
Listy św. Pawła Apostoła
Przekład ks. prof. E. Dąbrowskiego zł 16.—
Blaise Pascal
Myśli
Oprawa kartonowa zł 32.—
Oprawa płócienna ze złoceniami zł 65.—
Aleksander Rogalski
Katolicyzm w Niemczech po II Wojnie Światowej zł 20.—
Salvianus
O Opatrzności Bożej zł 9.—
Tadeusz Silnicki
Biskup Nanker zł 29.—
Tadeusz Silnicki
Dzieje i ustrój kościoła na Dolnym Śląsku do XIV w. zł 32.—
Stefania Skwarczyńska
Studia i szkice literackie zł 45.—
św. Augustyn
Dialogi filozoficzne
(dwa tomy) zł 50.—

św. Augustyn
Pisma Katechetyczne zł 20.—
św. Hieronim
Listy tom I
Przekład ks. prof. J. Czuja zł 34.—

POEZJE

Arkusze poetyckie
10 Autorów zł 12.—
Tadeusz Gajcy
Utwory zebrane zł 25.—
Maciej J. Kononowicz
W ramionach srebrnych rzek zł 15.—
Jerzy Liebert
Poezje zebrane zł 25.—

POWIEŚCI I NOWELE

Zbyszko Bednorz
Dzieci i bagaże zł 15.—
Georges Bernanos
Zakłamanie zł 20.—
Georges Bernanos
Radość zł 20.—
G. K. Chesterton
Przygody ks. Browna zł 18.—
Wanda Chylicka
Spóźnione [illegible] zł 16.—
Joseph Conrad
Opowieści wybrane zł 22.—
Jan Dobraczyński
Listy Nikodema
Oprawa kartonowa zł 35.—
Oprawa płócienna ze złoceniami zł 60.—
Jan Dobraczyński
Klucz mądrości
Oprawa kartonowa zł 32.—
Oprawa płócienna ze złoceniami zł 65.—

Jan Dobraczyński
Drzewa chodzące zł 25.—
Graham Greene
Broń na sprzedaż zł 22.—
Janina Kolendo
Szukając [illegible] zł 20.—
Jerzy Krzysztoń
Opowiadania indyjskie zł 22.—
Pär Lagerkvist
Barabasz
Oprawa płócienna zł 18.—
Andrzej Łepkowski
Ludzie znad zatoki zł 15.—
J. F. Powers
Książę ciemności zł 25.—
Reinhold Schneider
Oskarżenie zł 16.—

RÓŻNE

Paweł Jasienica
Wisła powiedzie zaściankiem
Reportaże zł 20.—
Al. Rymkiewicz
Przygody Gucia Pingwina
Książka dla dzieci zł 10.—
Włodzimierz Wnuk
Wiosna nad Motławą
Reportaże zł 20.—

Krystyna Wróblewska
Ojcze nasz
Teka drzeworytów zł 16.—
Wróg pozostał ten sam
Zbiór artykułów zł 3.—

Wysyła pocztą Biuro Sprzedaży „PAX" Warszawa, Mokotowska 43, za zaliczeniem pocztowym. Do nabycia również we wszystkich księgarniach firmy „VERITAS".

PAX

KSIĄŻKA WYDAWNICTWA „PAX"

Kilka słów o:

teatrze

„FANTAZY" NA SCENIE SZCZECIŃSKIEJ

Teatr Polski w Szczecinie wystąpił ze starannie przygotowaną premierą „Fantazego" — Juliusza Słowackiego. Sztukę reżyserowała Maria Straszewska, oprawę scenograficzną projektowała Anna Walcuch. Był to jednocześnie debiut młodych sił aktorskich, bowiem obsadę sztuki łącznie z rolą tytułową stanowili absolwenci Wyższej Szkoły Teatralnej w Warszawie.

NOWY BALET RADZIECKI

R. Glier — znany kompozytor radziecki — zakończył niedawno prace nad nowym baletem pt. „Owcze źródło". Jako osnowę libretta wziął Glier znaną powieść Lope de Vegi pod tym samym tytułem.

Jak podaje czasopismo radzieckie „Sowietskaja kultura" na początku przyszłego roku Moskwiczanie ujrzą „Owcze źródło" na scenie Muzycznego Teatru im. K. S. Stanisławskiego i Wł. J. Niemirowicza — Danczenki w opracowaniu młodego baletmistrza A. Cziczinadze.

„DIABELSKI KRĄG" — NOWA SZTUKA HEDDY ZINNER

Dużo miejsca poświęcają pisma w NRD sztuce Heddy Zinner pt. „Diabelski krąg", której premiera odbyła się niedawno w berlińskim „Schiffbauerdamm Theater". Akcja sztuki oparta jest na tle wstrząsających wypadków r. 1933—spalenia Reichstagu i procesu przeciwko Dymitrowowi. Chociaż akcja toczy się w r. 1933, ostrze sztuki wymierzone jest przeciwko polityce Adenauera i analogii nie trudno się doszukać. W rolach głównych wystąpili wybitni artyści sceny niemieckiej: Jochen Brockmann (Dymitrow), Willi A. Kleinau (Göring).

„KEAN" ALEKSANDRA DUMASA NA SCENIE PARYSKIEJ

Wielkim wydarzeniem jesiennego sezonu teatralnego w Paryżu stało się wystawienie sztuki „Kean" Aleksandra Dumasa. Jak wiemy bowiem autor francuski postać głównego bohatera wziął z życia Edmund Kean bowiem, urodzony w 1787 r. — to pierwszy aktor angielski w wielkim znaczeniu tego słowa.

Sztuka ta obecnie została przerzana i przygotowana na scenę przez Jean Paul Sartre'a. Dokonał on tego z wielkim pietyzmem, starając się jak najwierniej zachować myśl autora, wyciął niektóre tylko zbyt długie sceny, przez co uzyskał większą zwartość akcji. W roli tytułowej występuje znakomity aktor Pierre Brasseur, który jest także reżyserem tej sztuki. Znany filmowy dekorator Traumer dał świetną oprawę sceniczną w duchu romantyzmu, muzykę zaś skomponował Jean-Armand Petit.

Plastyce

PIĘKNA MADONNA — PROF. JURASA

Wielu z nas pamięta „Piękną Madonnę" z kościoła św. Jana w Toruniu, cenny zabytek rzeźby polskiej z XV w. Została ona podczas okupacji wywieziona i do tej pory się nie odnalazła. Obecnie prof. Juras z Wadowic pracuje nad posągiem Matki Najświętszej, który będzie wzorowany na toruńskiej „Pięknej Madonnie". Rzeźba ta zostanie umieszczona w ołtarzu kościoła parafialnego w Tucholi (woj. bydgoskie).

NIEPOPULARNA WYSTAWA

Duże oburzenie wśród społeczeństwa kubańskiego wywołała otwarta niedawno w stolicy Kuby — Havanie — wystawa współczesnej plastyki hiszpańskiej. Pomimo silnej akcji propagandowej, pomimo wypowiedzi „samego" Franco, który w związku z tą wystawą mówił o trwałej więzi kulturalnej między obecną Hiszpanią i Kubą, sale wystawowe świeciły pustkami.

Kubańskie czasopismo „Tempo" opublikowało szereg artykułów wybitnych przedstawicieli życia kulturalnego stolicy. Artyści, rzeźbiarze, malarze, krytycy plastyczni surowo osadzają rząd Kuby, iż zezwolił na wystawienie w Havanie prac artystów, którzy swą twórczość oddali na usługi frankistowskiej kliki.

WYSTAWA RZEŹBY W MOSKWIE

Z dużym zainteresowaniem przyjęta została wystawa rzeźby, którą otwarto w końcu listopada w siedzibie Moskiewskiego Związku Artystów Plastyków. Wystawa zgromadziła ponad 200 prac moskiewskich artystów — znalazły się tam prace cenionych i uznanych w Zw. Radzieckim rzeźbiarzy jak np. S. Kamienkowa — laureata Nagrody Stalinowskiej. Nestor rzeźbiarzy radzieckich wystawił wykonane w marmurze popiersie kompozytora M. Mussorgskiego oraz głowę Sokratesa. Na wyróżnienie według słów recenzentów pism radzieckich zasługiwały prace: Grapawa — „Lew Tołstoj", ciekawa artystycznie kompozycja Berlina „Przyjaźń narodów w walce o pokój" — przedstawiająca grupę: Chińczyka, Rosjanina i Murzyna.

POZNAŃSKA WYSTAWA PLASTYKÓW

W Poznaniu została otwarta doroczna wystawa prac Związku Polskich Artystów Plastyków Okręgu Poznańskiego. Wystawa zgromadziła 101 prac 73-ch autorów. Najliczniej reprezentowany jest dział malarstwa i grafiki.

WYSTAWA J. KULISIEWICZA

7 bm. w gmachu „Zachęty" otwarta została wystawa rysunków laureata Nagrody Państwowej I stopnia Tadeusza Kulisiewicza, obejmująca prace powstałe w czasie pobytu artysty w Chińskiej Republice Ludowej oraz nowe rysunki ze wsi podkarpackiej — Szlembarku.

Van Gogh

Z czarnego miąższu cierpienia
z rudych pożarów południa
z ciemnych stwardniałych rąk
ze słoneczników gorących
jak bukiety płomienia
i z nocy umierającej
na małych tarasach kawiarń
z modlitwy, która wieczorem
dzwoni w kościołach Arles —
powstaje świat Van Gogha.

Z rodzącej w bólach ziemi
rozpiętej na niebach płócien
z bujnego jak krew zachwycenia
z oczu straszących obłędem
z przelotu chmurnych wron
z uśmiechu smutnych dzieci
i z gwiazd wykwitłych nad mostem —
wzlatuje miłość Van Gogha.

Mikołaj Bieszczadowski

List z niedaleka

Ogień i cierpienie

Mój drogi,

W twoim ostatnim liście polubiłem szczególnie jedno zdanie; nad Sandomierzem przeciąga już siny chłód, tylko wieczorami niebo płonie gorącą czerwienią, jak na płótnach Van Gogha.

Od tego nazwiska cały twój list stanął w łunie kolorów — jakbyś nagle otworzył drzwi na rozsłoneczniony ogród.

Bo widzisz — Van Gogh — to tak wiele. To nie tylko jeden z punktów zwrotnych malarstwa europejskiego, to nie tylko dziesiątki arcydzieł rozsianych po muzeach świata; Van Gogh, mój drogi, to wielka pieśń namiętnej miłości do ziemi i do człowieka. Ten malarz nie stworzył nigdy niczego, co byłoby obojętne i chłodne, nie malował abstrakcji. „Moje obrazy muszą oddychać — pisał w liście do brata". Przenosił więc na płótno wizerunki spracowanych ludzkich rąk, schylonych w trudzie pleców, malował zwykłe wiejskie kwiaty, drzewa przydrożne, słoneczne krajobrazy — malował tylko to, co widział dookoła, wnętrza hotelowych pokojów, w których mieszkał, tarasy małych kawiarenek, na których przesiadywał, robotników, z którymi się przyjaźnił, mieszkańców małych miasteczek, wśród których żył — malował tylko to, co pokochał: ziemię w całym zawrotnym bogactwie jej barw i niebo unoszące nad tą ziemią jak najpiękniejszy obraz. Lubił malować słońce — olśniewającą kulę, który płynie nad światem jak zwiastujący anioł. Van Gogh uwielbiał światło — znał jego tajemnice lepiej niż impresjoniści, niż Cezanne. Jest zresztą olbrzymia różnica między tamtymi a nim. Bo nie wystarczał mu sam urok konkretu jak Cezanne'owi, nie igrał formą, nie analizował odcieni i widm słonecznych — rzucał na płótno farby, tak jakby przelewał własną krew. Nie malował dla sławy — nie znał pychy, nigdy nie schlebiał gustom bogaczy — jego dzieło jest tylko opowieścią o wewnętrznym życiu artysty. I tak potężne było u Van Gogha zakochanie się w świecie, tak mocne, tak rozżarzone, że nie ugasił go potok czasu, który przecież potrafi wystudzić wiele, a zechciej nie zapominać, że od urodzin Van Gogha minęło już sto lat.

I pomyśl tylko, że ta niepoównana twórczość, która woła każdą linią, każdą barwną plamą o potędze miłości, narodziła się z najtragiczniejszego losu, jaki się może zdarzyć. Nie ominął Wincentego żaden ból, nie zaoszczędzono mu żadnego upokorzeń; poznał dokładnie jak smakuje głód, jak mocna jest nienawiść, znał najtrudniejszy ciężar, ciężar osamotnienia, doznał goryczy nieodwzajemnionej miłości, musiał żyć z tak druzgocącą dla każdego artysty niewiarą we własny talent, wreszcie zeszedł najniżej — poznał piekło obłędu.

Czterdzieści lat życia — i to aż takiego życia, dziesięć lat twórczości — i to aż tak uciążliwej — to niedługo, a jednak zdążył dać więcej, niż by można uwierzyć.

Cezanne napisał kiedyś, że artysta powinien tworzyć swe dzieła tak, jak krzew migdałowy rodzi swe kwiaty. Ale Van Gogh przypomina mi raczej moje ulubione drzewo: — akację.

Jak ona — trudny, kolczasty i gorzki, podobnie jak ona zawsze skrzywdzony i bez chwały, potrafił na przeciąg krótkich lat swojej twórczej wiosny rozkwitnąć takim pięknem, że siła tego uroku rośnie w miarę lat i zniewala każdego, kto się z nią spotka. Wizja świata, jaką nam narzucił Van Gogh, kształtuje wyobraźnię artystyczną, odkrywa urok w prostych liniach i barwach, w zmierzchach i łanach zbóż, w kwiatach słoneczników, w splątanych gałęziach drzew, w geście siewcy zasiewającego niwę. I ty patrząc na zimowe niebo rozpięte nad Sandomierzem dostrzegasz w nim barwy, jakie spłynęły na to niebo z drgającej jak zakochane serce palety Van Gogha.

Więc chciałbym, ażebyś żył z nim w przyjaźni, abyś się od niego uczył, jak ciemność przemienić w smugi świetlne, jak z cierpienia tworzyć ogień miłości.

Twój Eryk

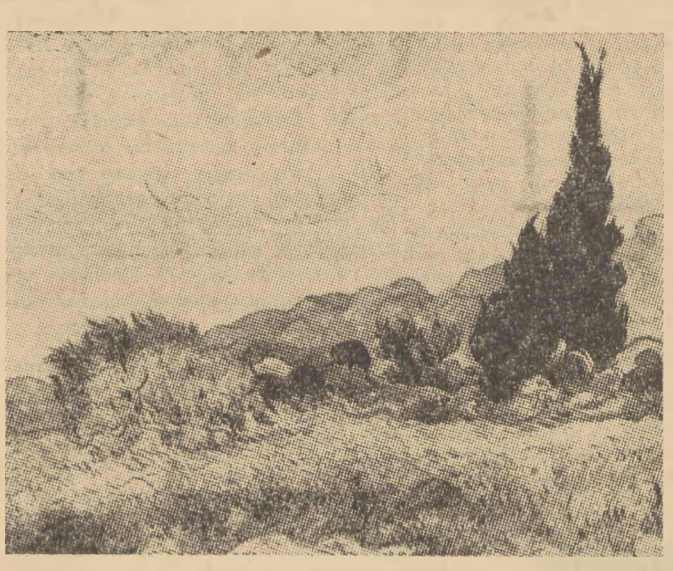

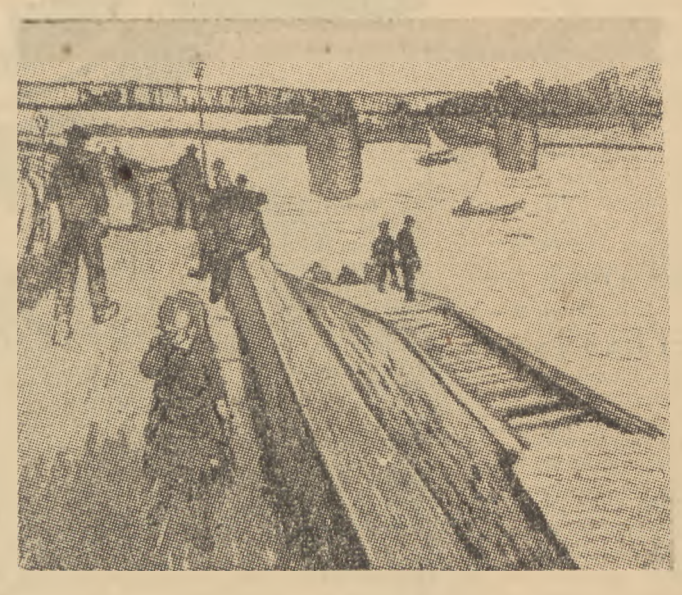

Muzyce

NIEDYSKRECJE O FESTIWALU MUZYKI WSPÓŁCZESNEJ

Jesienią 1954 r. odbędzie się Festiwal Współczesnej Muzyki Polskiej. Kompozytorzy polscy przygotowują utwory operowe, np. — Jan Maklakiewicz przygotowuje nową operę „Wiatr halny" (wg libretta Adama Pacha), a Tadeusz Szeligowski „Dziadek do orzechów" (tekst E. T. A. Hoffmana).

W Festiwalu będą reprezentowane operetki: Edward Olearczyk zapowiada „Uśmiech młodości" (libretto Mirosława Łebkowskiego) a Tomasz Kisewetter komponuje balet pt. „Stańczyk".

Naturalnie, że i w innych dziedzinach muzyki nie panuje głucha cisza — znani kompozytorzy, jak Andrzej Panufnik, Piotr Perkowski, Artur Malewski, Grażyna Bacewiczówna, Witold Lutosławski, Bolesław Woytowicz, Tadeusz Baird i in. opracowują symfonie, uwertury, kantaty.

ŚPIEW GREGORIAŃSKI

Po raz pierwszy od wojny — pisze nasz czytelnik z Chojnic — słyszałem łacińską mszę gregoriańską śpiewaną. 22 listopada z okazji święta swej patronki, św. Cecylii — Towarzystwo Śpiewu Kościelnego „Lutnia" wykonało w farze chojnickiej (Pomorze) łacińską mszę gregoriańską, pod batutą prof. dr. Fr. Gierszewskiego.

Obecnie obserwujemy w liturgii Kościoła żywy nawrót do tradycji śpiewu gregoriańskiego — w Warszawie np. często można uczestniczyć w mszy św. połączonej ze śpiewem gregoriańskim; np. w Pro katedrze, gdzie śpiewa chór kleryków z Warszawskiego Seminarium Duchownego, w kościele św. Anny, kościele S.S. Sakramentek.

NAGRODA MUZYCZNA MIASTA PARYŻA

Wielka nagroda muzyczna miasta Paryża na rok 1953, wartości 400 tysięcy franków, została ostatnio przyznana kompozytorowi francuskiemu Jaques de la Presle za jego najnowszy utwór — Koncert D-dur.

Literaturze

GREEN PO FRANCUSKU

W swoim zbiorze „Essayów katolickich", który ukazał się ostatnio w wydawnictwie „Edition du Seuil" znakomity pisarz angielski przemawia do katolików całego świata prostym i przepojonym wiarą językiem o potrzebie kultywowania myśli katolickiej. Szczególnie cenny i odkrywczy jest jego essay zatytułowany „Do katolików francuskich". Książka Greena wzbudziła w kołach intelektualistów francuskich wielkie zainteresowanie, wywołując polemikę z niektórymi tezami jego dzieła.

KSIĄŻKA O KSIĘŻACH ROBOTNIKACH

We Francji ukazała się ciekawa książka o księżach robotnikach zatytułowana „Jezus incognito". — Napisał ją ksiądz belgijski — Josse Alzin — który był kolejno profesorem, pisarzem, robotnikiem i proboszczem. Jego wspomnienia poświęcone są księżom robotnikom, którzy pracują w fabrykach, portach itp. i jednocześnie pełnią swe obowiązki kapłańskie. Książka wstrząsa swą ogromną szczerością w opisach trudnych warunków życia mas proletariackich na Zachodzie i wzrusza głęboko ukazując poświęcenie licznych księży katolickich, pracujących wspólnie z robotnikami i współczujących ich doli.

Redaguje zespół
Prenumerata miesięczna 4 — zł Kwartalna 12 — zł
Adres Redakcji i Administracji Mokotowska 43 I p. tel. 860 11 860 12
Sekretarz redakcji przyjmuje codziennie prócz wtorków i czwartków godz. 11 — 13.
Zamówienia i wpłaty na prenumeratę przyjmują wszystkie urzędy pocztowe oraz listonosze.
Drukarnia Akcydensowa Warszawa Tamka 3 Zam. 2896. 4-B-21610.